

I 207.042



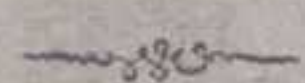


DUMA
O HIAWACIE

Henryka W. Longfellowa.

przekład


Feliksa Jesierskiego.




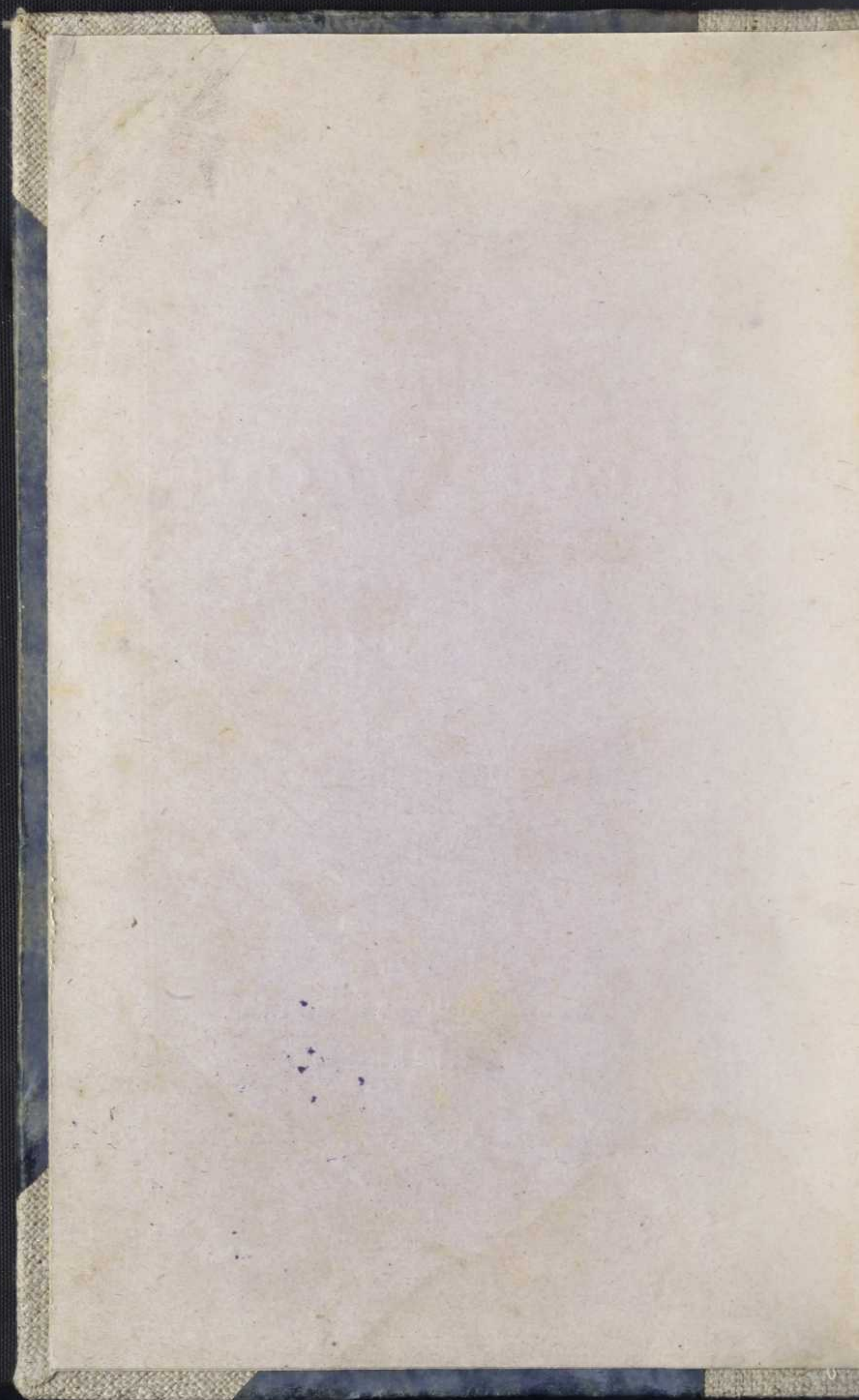
WARSZAWA.

Nakładem Księgarni Stanisława Arzta w Lublinie.

1861.







DUMA O HIAWACIE.



LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF CHICAGO

DUMA O HIAWACIE

HENRYKA W. LONGFELLOW.

PRZEKŁAD

Feliksa Jezierskiego.



WARSZAWA.

Nakładem Księgarni Stanisława Arzta w Lublinie.



1860.

AMMO
HIAWAH O
WOLNO DUKOWAĆ, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cen-
zury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 2 (14) Czerwca 1860 r.

Cenzor, Antoni Funkenstein.



240.702



w Drukarni S. Orgelbranda.

47 2

TREŚĆ POEMATU.



PRZEDŚPIEW.

- PIEŚŃ I. Dym pokoju.
„ II. Cztery wiatry.
„ III. Narodzenie Hiawaty.
„ IV. Hiawata i Ojciec.
„ V. Modlitwa.
„ VI. Przyjaciele Hiawaty.
„ VII. Żegluga.
„ VIII. Połów.
„ IX. Król perłowy.
„ X. Dziewosłab.
„ XI. Gody weselne.
„ XII. Syn gwiazdy wieczornej.
„ XIII. Błogosławieństwo nad polami.
„ XIV. Pismo obrazowe.
„ XV. Żale Hiawaty.
„ XVI. Pau-puk-keewis.
„ XVII. Pogoń.
„ XVIII. Śmierć Kwazynda.
„ XIX. Duchy.
„ XX. Głód.
„ XXI. Mąż Biały.
„ XXII. Hiawata odpływa.

Objaśnienie.

Słowniczek.

TRÉŠŤ POEMATU.

PRILUHŤ

- 1. Priluh
- 2. Priluh
- 3. Priluh
- 4. Priluh
- 5. Priluh
- 6. Priluh
- 7. Priluh
- 8. Priluh
- 9. Priluh
- 10. Priluh
- 11. Priluh
- 12. Priluh
- 13. Priluh
- 14. Priluh
- 15. Priluh
- 16. Priluh
- 17. Priluh
- 18. Priluh
- 19. Priluh
- 20. Priluh
- 21. Priluh
- 22. Priluh
- 23. Priluh
- 24. Priluh
- 25. Priluh
- 26. Priluh
- 27. Priluh
- 28. Priluh
- 29. Priluh
- 30. Priluh
- 31. Priluh
- 32. Priluh
- 33. Priluh
- 34. Priluh
- 35. Priluh
- 36. Priluh
- 37. Priluh
- 38. Priluh
- 39. Priluh
- 40. Priluh
- 41. Priluh
- 42. Priluh
- 43. Priluh
- 44. Priluh
- 45. Priluh
- 46. Priluh
- 47. Priluh
- 48. Priluh
- 49. Priluh
- 50. Priluh




1959K715/94

Pomiędzy wielu pobudkami do przekładu Hiawaty, najważniejszą może była dostrzeżona w nim dziwna pokrewność i jakby rysy familijne ducha słowiańskiego przypominające. Że śpiewak Hiawaty jest wysokim uosobieniem téj pokrewności duchowój, dowodzi między innemi i ów zapal, z jakim Longfellow przeniósł pieśni nasze pod cienie dziewiczych lasów Ameryki. Wreście czyliż gorący instynkt czynu, dziewiczość obyczajów i nuta rzewna na poważném tle północnej kontemplacyi, nie są najistotniejszém wyrażeniem naszego ducha? O ile zaś poeta zaczerpał natchnienia i kierunku z naszych pieśni narodowych, na to, obok wielu innych, najwydatniejszą będzie skazówką: XII-ta Pieśń Hiawaty (O synu gwiazdy wieczornój). A małoż tu owój, rzecz można, polskości w obrazach i obrazkach, w tonie i oniemal w samym rytmie, w uroczyście spokojném zachowaniu się serca, w obec opowiadanych wypadków, w poetycznej czci dla przyrody i człowieczeństwa uosobionego w plemienu — w narodzie?

Tyle o pobudkach moralnych. Co do strony ściśle artystycznej niniejszego poematu, wykształcona publiczność wyrobiła już sobie zdanie o śpiewaku Ewangeliny i Elsy; tłómacz więc za szczęśliwego uważać się będzie, jeżeli udało mu się być prawdziwym pośrednikiem pomiędzy autorem a publicznością.

W Styczniu 1860 r.



PRZEDŚPIEW.

Zkąd pytacie, zkąd to rodem,
Owe dziwy i podania?
W których puszcze wieją chłodem,
Łąki dyszą mgłą zarania;
Rosy szklą się po murawie,
Dymy kręcą kędzierzawie,
Szumią prądy nad chatami
Dziki dźwięki za dźwiękami,
Myśl za myślą grzmi nawrotem,
Niby w górach grzmot za grzmotem?
Więc odpowiem i opowiem:

Oto rodem z głębi gajów,
Od Norlandzkich jezior płyną,
Od siedziby Odzybwajów,
Od trzęsawisk, gdzie się struga
W bagnie sączy a pod trzcina
Koczuje czapla Szuszuga.
Wieszcz je nucił starodawny,
Nawadaha, wieszcz przesławny
I muzyką i śpiewaniem —
Ja powtórzę piosnki za nim.

A wam dziwno, zkądby owy
Nawadaha miodosłowy,
Zkąd zasłyszał téj piosenki
Tkanój w dziką myśl i dźwięki?
On je z ptasich gniazd wytoczył,
On je w bobra legowisku,
On w żubrowych stóp wycisku,
On je w orlém gniaździe zoczył.
Wszystkie ptaki ją śpiewały
Po zaroślach trzęsawiska.
Pierwszy śpiewał nurek mały,
Za nim Czetowaik łyska,
Za nią dzikie gęsi Wawa,
Za nią żóraw', czapla biała,

Dziką piosnkę mu śpiewała.

Jakiż, znów mię zagadniecie

Jakiż tam wieszcz Nawadaha?

Kędyż śpiewał Nawadaha?

Oto w nizach Tawazenty,

W nizach cieni i zieleni

Zdrój się łamie w ciche skręty,

Tam wieszcz gościł Nawadaha.

Chleborodne łany w koło

Obsiadły Indyjskie siolo.

Za łanami postarzała

Sosnowa puszcza szumiała,

W lecie modra, w zimie biała,

Wiecznie śpiewna, wiecznie rzewna.

I to rzeźkich wód zwierciadło

Komuż w oczy nie popadło?

Wiosną z szelestu po łanie,

Latem z olchy ciemnogłowój,

W jesień po białym tumanie,

Zimą po wstędze lodowój.

Tu nad strugą cichój wody,

Tu nam gościł Nawadaha,

Wieszcz przesławny na narody.

Tu na pieśnię wiązał strony.

Hiawaty dzieje śpiewał,
Jako cudem narodzony
Żył, cierpiął, w trudach omdlewał,
Głodem, modłą nękał siły;
Aby na to człowieczeństwo
Wymodlić błogosławieństwo,
By ludy w przyszłość patrzyły.

Wy, dla których lubo w świecie,
Wy, co słońca blask na łące,
Cienie w borach miłujecie,
Wiatry po liściach grające,
Burz, nawalnic groźne wycie,
Rzek olbrzymów groźne bicie,
Na sosnowy grzbiet stawideł;
I pioruny, gdy po górach
Niby orły, gromem skrzydeł
Grzmią w setne chóry po chórach;
Wy téj dumy posłuchacie
O proroku Hiawacie.

Wy, którym serce rozżali
Lada piosnka, baśnia płocha,
Co to, niby głos z oddali
Mówi: „stój, posłuchaj trocha,“
A tak mówi nieukładnie,

Tak dziecięce mówi słowa,
Że ot, zdaje się, nie zgadnie,
Czy to piosnka, czy to mowa;
Wy téj pieśni posłuchacie
O proroku Hiawacie.

O wy, których serca młode,
Z wiarą w Bogu i przyrodę
Czują, że przed wieków wiekiem,
Zawsze człowiek był człowiekiem;
Ze i w dzikiem Nomad łonie,
Żyje tęskność, żądza płonie,
I wśród walki ogień święty,
Ku wszech cnocie niepojętej;
Ze mdłą ręką, bez pomocy,
Błądząc po téj życia nocy,
Wzdy omackiem pośród cieni
Napotkają rękę Bożą,
I powstaną umocnieni;
Wy téj piosnki posłuchacie
O proroku Hiawacie.

Wy, co kiedyś w bujne łany
Zapuszczając krok zblakany,
Odpoczęliście na chwilę
Na porosłej mchem mogile,



By podumać o wyrazie
Wpół zatartym już na głazie,
A tam piosnka cichéj treści,
Lecz z każdego wieje słowa
Myśl wymowna — myśl grobowa,
O nadziei, o boleści
I o ziemi i o niebie;
Wy ten napis przeczytacie,
„Oto pieśń o Hiawacie.“



II.

LULKA POKOJU.



Oto na góry Stepowe,
Na czerwonych skał odłomy,
Zszedł duch wielki niewidomy,
Dżycze Manito, król bytu,
W przestwór rozciąga ramiona,
I tam ze szczybów granitu
Woła ludy i plemiona.

Kędy stąpił, jego śladem
Trysła rzeka wodospadem,
I waząc się po nad tonią

Wskróś przebita wschodu brzaskiem,
Z ogniem słońca jednolito,
Pali się komety blaskiem:
A wielki Dżycze Manito
Stąpił niżej i nad błonią
Kreśląc wodom możną dłonią
Krzywe ślaki wzdłuż po świetcie,
Rzekł im: „tędy popłyniecie.“

I od czerwonego szczytu
Udarł ręką kęs granitu;
W postać lulki go urobił,
Przeróżne kształty wyźłobił,
I na wydech lulkę zgody
Przetknął trzcina z po nad wody,
Jeszcze z liści nieodartą.
Wcisnął w lulkę garście kory,
Garście czerwonej sokory,
Tchnął na bór piersią rozwartą,
Aż się starły sosen grzywy,
Aż wybuchnął ogień żywy.
A on, mierząc w świat okrężny,
Zażegnał z nich lulkę zgody
Jako hasło na narody.

Zwolna, zwolna dymy rosły

Na spokojnym płynie świtu
Wprzód się wstęgą mgły podniosły,
Potem w obłok śnieżnobiały;
Potem ścięte w słup błękitu,
W skrzydła drzew rozkrzyżowały.
Wciąż tak rosły, wciąż pod niebo
Aż dotarłszy, gdzieś o niebo
Wpółrozdarte, resztą siły
W koło chmur się okręciły.

Więc od nizów Tawazenty
Więc od nizów Wyominga
Po skalnej góry bezdroże,
Ku Tuskolad ciemnym borem
Biegło dymem hasło Boże,
Aż gdzieś padło mgły całunem
Na jeziora pod biegunem.

I dojrzały wszechnarody,
Dym Pukwana — dym zgody.
„Patrzcie, patrzcie — to Pukwana!“
Mówią ludom prorokowie:
W znaku tym, co z oddalenia
Gnie się ku nam, jak sitowie,
Wieje ku nam dla skinienia,
Dżycze Manito was zowie

Was na radę, pokolenia,
Was na sejm, bohaterowie.

Więc od czterech wiatrów ziemi,
Ruszyły tłumy zbrojnemi
Mohawkowie, Delawary
I Kamancze i Czoktawy
Czarnolice i Szoszony
Pawnejowie, Omawhawy
I Mandany i Hurony
Odzybweje i Dakotah.
Wszystkie, wszystkie zbrojne siły,
Na to hasło wyruszyły,
Do gór — stepu, których czoła
Pukwana osnuł do koła.

Błoniem rozsiadły się roje,
Na nich groźne błyszczą zbroje,
Malowane w liść jesienny,
Malowane w cień promienny.
Dziko patrzą nieruchome
Oczy w oczy, krwi łakome.
W twarzach niewiara wyryta,
W sercach, boju chuć niesyta.
Dziedziczne mordów pragnienie
I praojcze potępienie!

A on, pełny wielmożności,
Stwórca plemion i natury,
Patrzył na nie z po nad góry
Okiem serca i miłości.
Rodzicielsko spojrział na nie,
Na ich swar i zagniewanie,
Na ich pomsty — co się zdały
Jakby waśnie dziatwy małej.
I obwiódł je dłonią prawą
By ostudzić żądzę krwawą;
By żar mściwy zwiać ze skroni
Cieniem świętej, prawej dłoni,
Więc głos spuścił z gór pokładu,
Równy gwarom wodospadu.
Co, nagnawszy wód zdaleka
Do bezdennych głębi ścieka.

„Dzieci moje, dzieci moje,
Nakłońcież kornego ucha,
Słowom rady i mądrości
Z ust Manita arcy-ducha,
Stworzyciela wszechistności!

Dałem ja wam wód otchłanie,
Ziemię dałem wam na łowy,
Renifery, bobry, łanie,

Ród jeleni i zubrowy,
Bagna, co ptaków rodziną,
Rzeki, co rybami płyną.
Wy wciąż głodni, w krzywd odwecie,
Na krew własną polujecie.
Znękały mię wasze zwady,
Zbrodnie wasze, gniew i zdrady,
Skargi i modły gorące
Do mnie pomsty wołające.

Oto wyślę wam z wysoka
Wybawiciela Proroka,
Co piastując, wodząc ludzi,
Unęka się i natrudzi.
Gdy będziecie mu po woli
Umnoży was i zespoli.
Lecz jeśli rad zabaczycie,
Zwiędnie, stleje wasze życie.

Wnijdziecież teraz do téj strugi,
Obmyć z twarzy złość namiętą,
Obmyć z dłoni krwawe piętno,
Zagrzeźć zbroje i maczugi;
Ten mi gład rozdarłszy w kłody,
Wyciosacie lulkę zgody,
I przetknioną trzcina czerstwą,

Strojną w pysznym piórokwiecie
Wspólnym ogniem zażegnacie
Na wiekuiste braterstwo!“

Na odzew króla natury
Spadły z ramion płaszcze, zbroje,
I kosmate łosie skóry;
W nurty rzeki się rzucili,
Piętno śmierci z lic obmyli.
Czyste górą były zdroje,
Czyste, szklące jak duch biały,
Z pod którego stóp tryskały.
Czarne w dole były zdroje,
Czarne, mętne brudną pianą,
Iście ze krwią pomieszana!

I grzebią w nadbrzeżnej błoni
Stosy bratobójczej broni.
O! z uśmiechem, wszechpotężne
Zwrócił oczy duch Manito
Na swe dziatki bezoreźne.

Oni milcząc, z każdej strony
Biją w kęsy glaz czerwony;
Lulkę zgody z glazu kroją,
Łamią trzcinę po nad rzeką
W przenajbielsze pióra stroją:



Z nią rozbiegli się po świecie.
A Manito król żywota
W chmurach roztwarł sobie wrota,
I uchylając zasłony,
Znikł w odmętach nie zoczony,
We mgłach dymu Pukwana.



III.

CZTERY WIATRY.



„Chwalaż tobie, Mudjekeewis,
Tobie wiatrze zachodowy,
Krzyczą starcy i wojacy,
Gdy, zdobywszy pas perłowy
Wracał z bohaterskiej pracy:
Od Wabasso-północnika
Z kraju zimy zawieruchy,
Z kraju białego królika.

Zdarł on z szyi pokryjomu
Mische-Mokwie pas Wamponu,
Kiedy straszny wszem narodom

Mische-Mokwa, arcy niedźwiedź
W sen popadłszy ocieężały,
Legł na wierzchu swojej skały,
Jako góra, mchem na grzbiecie
W bure plamy centkowana.

Tu się zakradł Mudjekeewis
Z taką ciszą i pośpiechem,
Że go ledwie nie dosięga
Krwawy pazur dziwolęga;
I że nozdrza parnym dechem
Obie dłonie mu zagrzały,
Kiedy ściągał pas perłowy,
Po uchu co nie słyszało,
Po oku co nie widziało,
I po nozdrzu Mische-Mokwy
Zakwefioném w kudły czarne,
Z których ziały dechy parne
Na ręce Mudjekeewesa.

Wnet się bulat wstrząsł zuchwało,
Hasło boju z piersi grzmiało;
Wnet potężny cios wymierza
Między oczy Mische-Mokwy;
W środek czola wielkozwierza.

Ten od ciosu osłupiały

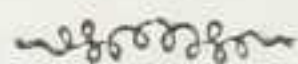
Zerwał się, podźwignął z ziemi;
 Lecz kolana pod nim drżały;
 Jęknął jęki niewieściami,
 I znów zachwiał się, zatoczył,
 Ból go zwałił i omroczył.
 A beztrwożny Mudjekeewis
 Staje w oczach dziwoląga,
 Obrzuca go śmiechem wzgardy
 I w te słowa mu urąga:

„Oj! tchórz z ciebie Mische-Mokwo!
 Tchórz — a kroisz na junaka,
 O nie stęknąłbyś, nie jęknął
 Jak niewiasta małej duszy.
 Długo wrogie nasze rody,
 Długo szły w krwawe zawody;
 Dziś, gdy górą nasza siła,
 Mische-Mokwo, ty dziś w bory
 Tybyś w nory się zagrzebał.
 Mnie, zwalczonemu twą siłą,
 Westchnąć z bólu wstydby było.
 Jęcz — niech jęki parte nędzą,
 Twój przeklęty ród rozpędzą,
 Jak nikiemną Szaugodaya
 Jak niewiastę hojaźliwą.“

I podniósłszy znów maczugi,
Upuszcza ją po raz drugi:
Trzasła czaszka, jak szkło lodu
Trzaska pod sznurem niewodu.

Tak legnął potwór ze skały,
Arcy niedźwiedź Mische-Mokwa.
„Cześć więc“ lud mu woła wszędzie,
Cześć pogromcy Mische-Mokwy
I niech odtąd rzeczon będzie
Kabeyun: wiatr zachodowy.
I niech stoją w jego mocy
Wszystkie wiatry dnia i nocy.
A Kabeyun imie jego —
Nie zwijcież go: Mudjekeewis.

Tak cztery wiatry na niebie
Poszły w moc pogromiciela:
Zachodowy wziął dla siebie.
Resztę synom tak rozdziela:
„Ty, Wabunie, masz wschodowy,
Ty, Shawondasee, południowy,
Ty, srogi Kabibonokko
Masz wiatr srogi, — północowy.“



Śliczny Wabun ranną dobą
Niósł świtanie po za sobą.
Srebrnolite jego strzały
Z gór i dolin mrok zganiały.
Twarz Wabuna mleczno-biała
Wskrós szkarłatem przeciągnięta;
Na głos jego wieś wstawiała
I myśliwi i zwierzęta.

Lecz coś w niebie niewesoło,
Choć mu ptastwo śpiewa w koło,
Choć dzikie kwiaty po łące
Zieją tchnienia woniejące.
Choć bory na jego przyjście
Szumią w głębiach uroczyście,
Bo samotny był na niebie.

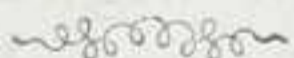
Aż raz do dnia, patrzy w ziemię,
Gdy wieś cała jeszcze drzemie,
Na wodach leżą tumany,
Jak duch, z nocy zabłąkany,
A tam dziewczę przedorodne
Samo biegnie łączną smngą
Rwąc sitowie, lilie wodne,
Co obrąbkiem szły nad strugą.

I tak w ziemię wzrokiem toczył,

Świt za świtem — aż zaoczył
Oczów dwoje — krynic dwoje
Pod krzewami — źrenicami
Co patrzyły w jego lice.
I pokochał samotnicę,
Pokochany — bo to dwoje
Byli w świecie samotnemi,
Ten na niebie, ta na ziemi.

Więc we swaty śle bez końca:
To uśmiechy wschodu słońca,
To pod listkiem szmer zalotny,
To wonie co najwonnejsze,
To dźwięki co najwdzięczniejsze
I pieszczoty i tęsknoty.
Aż ją znęcił na swe łono,
W płaszcz otulił ze szkarłatu,
I tam — jeszcze wylęknioną
Zmienił w gwiazdę porankową.
Owoż stadłem wiekuistém
Krażą po morzu gwiazdzistem,
Wabun z drzącą Wabun-Annong,
Wabun z gwiazdą porankową.

A srogi Kabibonokka
 Osiadł na północku ziemi,
 Gdzie pod sterty śniegowemi
 Lód krzepnie na wieczne skały,
 Osiadł w królestwie Wabasso,
 Gdzie się gnieździ królik biały.
 Jego ręka na jesieni
 Drzewa szkarłatem rumieni,
 Liście barwą krwawo-złotą.
 On po lesie, on po łące
 Sieje śniegi szeleszczące,
 Szybą lodu kryje studnie,
 On rybitwy i bociana,
 On zapędził na południe
 Czapłę, mewę, kormorana
 Do królestwa Shawondasse.



Raz Kabibonokka srogi,
 Przesząpił za srebrne progi,
 Za gospodę lodowatą.
 Włosy z śnieżném nakrapianiem,
 Rzeką snuły się po za nim,
 Rzeką czarną wichrowatą;

On szedł wyjąc, na południe
Na zamarzę trzęsawiska.

Aż w sitowiu późną dobą
Zoczył nurka Szyngiebisa,
Jak sznur rybiąt włókł za sobą,
Między trzcina pod sitowie.
Znać zapóźnił się zuchwały,
Bo już dawno wszęj nurkowie
Na południe odleciały,
Do królestwa Shawondasee.

„Co, krzyknął pierśmi całemi,
Jakiś śmiałek w mojej ziemi
Mojęj władzy najgrawa,
Kiedy dzikie gęsi Wawa,
Kiedy dawno czapla biała
Na południe odleciała.
Pójde, pójde i w wigwamie
Ogień zgaszę, trzon połamię.“

Otóż nocą, w dzikim biegu
Spadł na izbę z brzękiem, jękiem,
Sypiąc wkoło sterty śniegu;
Nad kominem długo szalał,
Aż potargał w drzwiach zasłony,
Węgły domu porozwalał. —

Szaléj sobie — a Shyngiebis
Śmiały stoi niespłoszony;
Oto cztery drzewa kłody,
Na zimowe niepogody.
I sznur rybiąt na biesiadę!
Stał przy ogniu rzeźwy, czelny,
Grzał się, ucztował i śpiewał,
A śpiewając dogadywał:
„Słuchaj ty Kabibonokko
Jam twój równy, współśmiertelny.“



Więc Kabibonokka groźny
Z gniewem wdarł mu się do chaty;
Zaraz z jego piersi mroźnej,
Z jego piersi lodowatej
Nurek poczuł gościa zimę.
Przecież uczyty nie porzucił;
Wciąż mu szydził, śmiał się, nucił;
Tylko sobie od niechcienia
Na ognisku skreślił szczypkę,
Aż tu iskry od płomienia,
Z dymem poszły na rozsypkę.
Więc od żaru od zawrotu,

Z twarzy gościa, z śnieżnej grzywy,
Ciężko spadła kropla potu,
W bruzdy krając popiół siwy:
Jak to wiosną z węgla chaty,
Z warkoczów płaczącej brzozy,
Odwilżone cieką mrozy,
W brózdy krając śniegu płaty.
Aż się podniósł, z sił wyzuty
Śmiechów znieść nie mógł i żaru
I wesolej drwiącej nuty.
Ruszył tedy w głąb obszaru,
Po rzeźbionych stosach śniegu,
Po jeziorach, trzęsawiskach;
A gdzie stąpił, tam się wody,
Kry ścinały, twarde lody.
I wyzywał Shyngiebisa:
„Tu niech wyjdzie i odwagi
I szyderstwa da igrzyska;
Tu niech wyjdzie, ale nagi
Na zamarłe trzęsawiska.“

Zgoda — nurek staje śmiało,
Bój z nim toczył przez noc całą,
Z okrutnym wiatrem północy;
Aż Kabibonokka srogi

Poczuł w piersi dech niemocy;
Zimne pięści mu zemdlały.
Więc się spał na tylne nogi,
I co duchu biegł struchlały,
Aż na północ, gdzie Wabasso,
Gdzie się rodzi królik biały.
A Shyngiebis choży, czelny
Długo, długo ścigał za nim,
Drwiąc śpiewaniem urąganiem:
„Słuchaj ty Kabibonokko,
Jam twój równy współśmiertelny.“



Shawondasse ociężały
Miał stolicę na południu,
Tam, gdzie senne słońca strzały,
Dają lato nieskończone.
On to pędzi leśne ptaki:
On gile z piersią pąsową,
On jaskółki skłaco-piórne,
On kolibry złoto-skórne,
On w krainę północkową,
Puszcza dzikie gęsi Wawa,
Liść tytoniu i melona
I czerwone winogrona.

Aj! ten leniuch Shawondasee,
Toż i on miał cień w swém życiu:
Raz, gdy w północ utkwiał okiem,
Oto w polu gdzieś głębokiem,
Stała w dzikiéj samotności
Dziewa — a strój wszystek miała
Najjaśniejszój zieloności,
Ogniem słońca włos jój pała.

On dzień za dniem patrzył na nią,
Hen w oddale i przestrzenie
A dwie rany serce ranią:
Namiętność i utęsknienie,
Za tą złotorunną główką.
Leniuch, leniuch! żeby słówko,
Żeby jeden krok zalotny,
Żeby rzucić iskrę żaru;
Nie! on smutny, on samotny
Wciąż poziera wzdłuż obszaru
Za dziewczicą nieznaną;

I pierw nie odwrócił oczu,
Aż raz — patrzy — w jój warkoczu
Dziwna zmiana — jasny biały,
Czyby go śniegi przywiały?

„Nie, mój bracie, mój rodzimy,

Od Wabasso z krajów zimy,
Tyśto porwał mi dziewicę,
Ciężko tknąłeś się jój głowy;
Zawabiłeś samotnicę,
Powieściami, bajeczkami,
Mój ty bracie północkowy.“

Nieszczęśliwy Shawondasse!
Tak przed wiatrem dobę całą
Składał skargi na niedolę,
Aż powietrze się rozgrzało
Żarem jego westchnień — pole
Spalonego ostu pyły
Niby śniegiem popruszyły.
A ów cudny włos słoneczny —
O! znikł kędyś na wiek wieczny.
Nieszczęśliwy! już nie zoczy
Złotomiennych jój warkoczy.

„Biedny, biedny Południku!
Nie za dziewczęciem ty wzdychasz,
Nie za dziewczęciem usychasz.
Nie — za ziółkiem, za papawą,
Przedumałeś całe lato,
Ku północy patrząc łzawo.
A co było westchnień smętnych,

Gnuśnych marzeń, dum namiętnych;
Dziś zdmuchniętą gdzieś na łanie
Rzucasz wiatrom na rozwinie.

Tak czterech wiatrów potęga
Rozeszła się na dzielnice,
I stanęły trzy granice
Na trzech rogach widnokręga,
Czwarty na zachodniem niebie
Mudjekeewis wziął dla siebie.



IIII.

NARODZENIE HIAWATY.

~~*~*~*

Kiedy pomrok stał nad ziemią
(Dawno, już dawno dni owe,
W wiecznej niepamięci drzemią):
Oto w pełni księżycową
Spadła prześliczna Nokomis,
Białogłowa, nie rodzica.

Raz Nokomis mleczno-biała
Gdy na łozach winogrodu,
Trzpiotając się kołysała,
Któraś tam z rówiennic grona,

Współzalotna a wzgardzona,
Od zawiści pełnej jadu
Przecięła nić winogradu.
A Nokomis blada, drżąca
Upadła z pełni miesiąca
Na wonną łąkę Muskaday,
Łąkę kwiatem haftowauą.

„Patrzcie! gwiazda!“ zawołano,
„A tak! gwiazda spadająca!“

Tu na kwiaty, na paprocie,
Tu na polnych lilij krocie,
Bez przytułku i pomocy
Na łąkę zieleń wyszytą,
W obec mlecznych światłał nocy,
Składa corkę w łzach powitą.

I przezwała ją: „Wenona“
Swoją córką pierworodną.
Rosło dziecię Nokomisy
Równy z zieleń, z lilją wodną,
Śliczne jak światłość miesiąca,
Jak ta gwiazda spadająca.

„Moja rada, córko miła,
Nieraz matka jej mówiła,
Strzeż ty się Mudjekeewisa

Strzeż i bardzo — nie chódź wiosną,
Tam gdzie wodne lilie rosną,
Ani słuchaj jego mowy,
Ani waż się sama w pole,
Bo ten wiater zachodowy
Przyniesie ci czarną dolę.“

Gdzie tam.... radom nie uległa,
Nie słuchała się, nie strzegła.
On téż przyszedł raz wieczorem,
Lekko przesnuł się nad borem,
Coś tam liściom, borom szeptał,
Mchy nastrzępiał, kwiaty deptał.
Aż ci między liliami,
Samą jedną w łąk oddali
Zoczył prześliczną Wenonę.
Więc ją złotą mową mami,
Słodyczami, pieścizotami
Aż przyszło w żalu, w miłości
Dziecię żalu i miłości.

Tak syn cudu i boleści
Urodził się Hiawata.
Ale nieszczęsna Wenona
Nie ogrzeje, nie wypieści
Syna swego. — Ach Wenona

Z łez umarła, opuszczona
Od srogięgo wiarołomcy.

A Nokomis we wigwamie
Zapłakała, ręce łamie:

„Bodajbym z tobą umarła,
Z tobą powieki zawarła.

Ach daremne to rozpacze;

Wahonomin, Wahonomin

Już ja córki nie wypłaczę.“

Na pobrzeżu Dżycze Gumee,

Gdzie się toczy Wielka Woda

I zwierciadłem brzegi trąca,

Stoi samotna zagroda

Nokomis, córki miesiąca.

Za nią czarne stoją bory,

Szumiają jodły niebosiężne,

Szumiają szyszki ostrokężne;

Przed nią białe wód przestwory,

Drżące zwierciadła przyrody

Biją fale Wielkiej Wody.

Tu u babki Nokomisy,

Co już dobrze zaszła w lata,

Kołysał się Hiawata.

A kołyskę miał z lipiny,

Na posłanie mchy i trzciny
Spięte żyłą renifera.
Gdy się dziecku na płacz zbiera,
Ta go strachem wnet ukoi:
„Hej obaczysz, Hiawato,
Hen tam nagi niedźwiedź stoi.“
A usypia go piosenką:
„Lulaj, lulu, małe ptaszę
Kto rozwidnia chatkę naszą?
Już ci duże twe oczęta;
Lulaj lulu, małe ptaszę.“

Wielu rzeczy go uczyła:
„Jak to gwiazdy lśnią w niebiosach,
Jak groźnie błyszczy Ishkoodah
Kometa w ognistych włosach,
W taniec śmierci idą duchy,
A rycerze zbrojno w kitach,
Gdzieś na północ po błękitach
Płyną w kraje zawieruchy.
Wyżej widać z gwiazd pierścieni
Jakiś biały pas szeroki,
To gościniec duchów cieci
W poprzek idzie przez obłoki,
Pełen duchów, pełen cieni.“

Wieczorami pośród lata
Siedzi w progu Hiawata,
I dziecięce ucho skłania
Na gwar sosen, wód szemrania;
Słowa cudu i muzyki
Sosna mówi: „Minne-Wawa,
Woda mówi: „Mudway-Aushka.“

Raz świecąca muszka mała
W szarym mroku przeleciała.
I połyskiem skrzydeł złoci
Wierzchy krzewin i paproci.
On zaraz do niej z piosenką,
Co go babka wyuczyła:
„Skrząca muszko, mój ty miły,
Mój jarzący ty świeczniku,
Robaczeńku świetno-biały,
Świeć mi, świeć mi taneczniku,
Aż mię eichy sen zaskoczy
I dziecięce stuli oczy.“

Raz nocą okrągła, drżąca
Z wód powstała twarz miesiąca,
W czarne plamy cieniowana,
„Cóż to“ rzecze, a wnuczkowi
Dobra Nokomis odpowie:

„Dawno dawno, wnuku drogi,
Był tu rycerz w gniewie srogi,
Co swą babkę z całej mocy
Cisnął w niebo o północy;
Wprost na księżyc — jój to ciało
Tam na wieki pozostało.“

Raz na wschodzie wstęga tęczy
Rozpięła się w półobřęczy.

„Cóż to“ znowu wnuk zapyta
Na to babka Hiawaty:

„Widzisz, to jest niebo kwiatów,
Wszystkie dzikie leśne kwiaty,
Wszystkie lilie barwy swemi
Gdy powiędną tu na ziemi,
Kwitną w niebie po nad nami.“

Raz słyszał, jak puszczał wieczorem,
Zahuczał kędyś nad borem,
Aż go zdjęła czarna trwoga.

„Cóż to“ spytał „moja droga:“

„Nic, nic“ Nokomis odpowie

„To puszczał z synkiem nocną dobą

Widać gwarzą coś ze sobą

W mowie puszczów, w ptasiój mowie.“

Więc od ptasząt Hiawata

Jał się uczyć ich języków,
Wszystkich imion i tajników,
Jak na zimę gdzieś się kryją,
Jak na lato gniazda wiją.

A w spotkaniu zaraz mami
Do rozmowy wszystkie ptaki,
Zwąc je „swémi kurczętami.“

To znów miana zwierząt bada,
Jaki zmysł ich, jaka mowa,
Jak bóbr pałace zakłada,
Gdzie wiewiórka żołędź chowa,
Czemu ren tak w biegu żywy,
Czemu królik tak płochliwy,
I rozmawia się z wszystkimi
Zowiąc: „braćmi rodzonemi.“

A był tam bazarz Jagoo,
Co przedziwne znał legendy,
Siła prawil, bywał wszędy
I poufny Nokomisie.

Ten Hiawacie na łowy
Łuk wystrugał jesionowy,
Z łaniéj skóry dał mu stronę,
Z wici dębu rznięte strzały,
Co krzemienne ostrza miały,

„Pójdźże, synku, pójdź za śladem
W bór głęboki, rzekł Jagoo,
Tam daniela chodzą stadem,
Niech łań legnie ci pod nogi
I jelenie sławne rogi.“

Więc do lasu Hiawata
A samotnie a zuchwało,
Dumny łukiem, dumny strzałą,
A ptaszęta gwarną zgrają
Krażą w koło i śpiewają:

„Nie zabijaj Hiawato.“
Tak śpiewa szczygieł Opechee
I błękitny Owaissa:

„Nie zabijaj Hiawato.“
Wiewióreczka Adjidaumo
Po gałązkach tuż pod bokiem
Śmiało sadzi skok za skokiem,
To zaskrzeczy, to z za drzewa
Niby drażni się, naśmiewa,
A w tym śmiechu zda się mówić:

„Nie zabijaj Hiawato.“
To znów królik mu zaskoczy
I odskoczy do manowca;
I przysiadłszy, zajrzy w oczy,

Pół wesóły, pół spłoszony
Młodziuchnego błaga łowca:
„Hiawato nie zabijaj.“

E! zkąd znowu! ani słucha,
W rogu sarnim utkwiał ducha,
W tropie utopione oczy
Nizem pędzą wprost na rzekę,
Na mieliznę i za rzekę,
Zda się spiący przez sen kroczy.
Tu z pod olchowej osłony
Śledził zwierza przyczajony,
Aż niebawem z gąszczu głogów,
Błysła para dzielnych rogów,
Oczów dwoje, nozdrzów dwoje,
Co poiły się wiatrami,
To był jeleń nakrapiany
Listków światłem i cieniami.

Oj w serduszku Hiawaty
Coś gorąco bić zaczyna,
Krew zawrzała, drzy dziecina,
Jak ten listek po nad głową:
Hiawata się przegina
I tak chytro łuk napina,
Że się listki nie zakłęsy

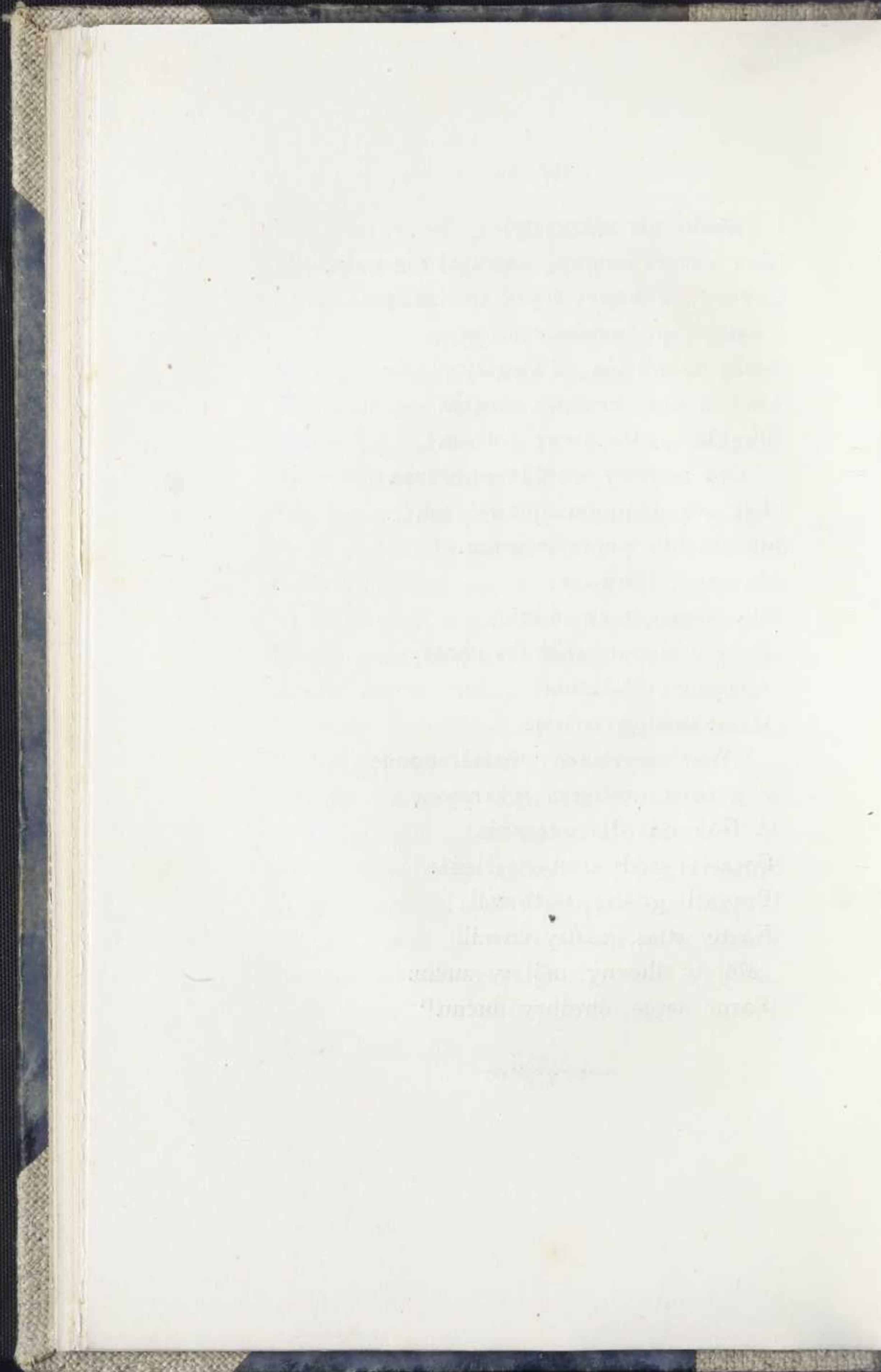
I gałązki nie zatrzęsły.
Lecz zwierz czujny, wstrząsł się cały,
Czworgiem kopyt trącił w ziemię
I słucha, podniósłszy stopę,
Jakby słonił się od strzały;
Ach! ta osa, krwawa strzała
Brzękła, padła, krwi dostała!

Oto martwy wzdłuż pobrzeża
Legł w rodzinnym ojców lesie;
Już nie bije serce zwierza.

Ale serce Hiawaty
Biło mocno, tryumfalnie,
Kiedy z łupem szedł do chaty.
A Jagoo i Nokomis
Oklaskami go witają.

Wnet zwycięzca wdział oponeę
Z grzbietu zwierza wykrojoneę,
A Nokomis dla uczczenia
Sprawia gody z mięs jelenia.
Przyszli goście, ucztowali,
Każdy wita, każdy chwali:
„Mój ty śliczny, mój ty zuchu,
Parne serce, chrobry duchu!“





IV.

HIAWATA I MUDJEKEEWIS.



Tak z chłopięcia rósł na męża
Hiawata, tak w nim rosła
Żądza łowów i oręża
I duch pełen starców wiedzy
I młodzieńczy żart wesoly
I wytrwałość na mozoly.

A straszną miał siłę biegu:
Nieraz puszcza z łuku strzałę,
I tak chyżo przed nią bieży,
Że już strzała za nim leży.

A straszną miał siłę w ręku:
Dziesięć strzał wyrzucił z lęku;
A tak szybko miota niemi,
Że dziesiąta już wypada,
Nim się pierwsza dotknie ziemi.

Miał jelenie rękawice,
Minjekahwun czarnoksiężkie:
Niech się tylko w nie ustroi,
Niczem skała, on ją zruszy
I na drobną miazgę skruszy.
Miał i obuwie zaklęte
Z jeleni skury wycięte,
Niechże tylko je nazuje
I obwiąże — to mu w pędzie,
Jeden rzut miłą zdobędzie.

Nieraz z babką mowa była
O rodzicu, Mudjekeewis
I o matce, o Wenonie
Wielce pięknej — nieszczęśliwej!
Jak odstępcą ją wyszydził;
Już on ojca znienawidził
I wre, niby węgiel żywy.

„Wiesz co babko“ wnuk jej powie,
„Ja pójdę do ojca — uznam,

Jak też idzie rodzicowi
Tam na lewym rogu świata,
Tam u furty zachodowej.“

Już się zbiera Hiawata,
Strojny, zbrojny jak na łowy:
Wdział koszulę łanio-skórą,
Drogo perły nanizaną;
Miał na głowie orle pióro
A wampumem się opasał.
Jesionowy łuk zabiera
Spięty żyłą renifera;
W kołczan lotną strzałę chowa,
Co na ostrzu jaspisowa,
Z boków pierzem nastrzępiona,
Cała z dębu — wdział zwyciężkie
Rękawice Minjekahwun,
Wdział obuwie czarnoksiężkie.

„Ejże nie chódź, lube dziecko
Na ten zachód,“ babka mówi,
„On na czary weźmie ciebie,
On zabije cię zdradziecko.“

Gdzie tam — nie posłuchał starój:
Zaraz w lasy nie strwożony
Biegł z wiatrami na przegony.

Jednym rzutem miłę zgonił,
I tak zdało się z oddali
Że pod sobą ziemię spali,
Że nad sobą niebo spali;
Bo widnokrąg się zapłonął,
W dymie, w kurzu stanął cały,
Jakby w stepie coś gorzało:
A to serce w nim gorzało,
Niby węgiel rozpalony.

Więc na zachód, wciąż na zachód
Mknął czarodziejskiemi stopy,
Za nic wszystkie ręce łanie,
Za nic żubry, antylopy,
Esconawbaw pod nim kipi
I potężna Mississipi;
Przebył ziemię wron i lisa,
Góry-Łąk piramidalne
I czarnonogich granice,
Tam bieleją Góry-Skalne
Wiatr zachodni ma stolicę.

~*~*~

Na burzliwym szczycie skały
Siedział starzec osiwiały,
Wichrowładny Mudjekewis.

Kiedy spojrział w twarz rodzica
Zimny przestach go pochwyca.
Na skroń starca dał z ukosa
Dziki wieher, włos rozwiewał
Szkłący, jak zamarzła rosa,
Albo Ishkoodah kometa,
Albo gwiazda ognio-włosa.

Wielka radość starca zjęła,
Gdy spojrział na Hiawatę.
Ach! w tym synu młodość dawna
Przed oczyma mu stanęła;
Ach! i prześliczna Wenona
Jakby z grobu przebudzona.

„Witaj mi“ rzekł czułem słowem,
„Witaj luby Hiawato
W tém królestwie zachodowém!
Dawno czekam ja na ciebie;
Nie to starość, co wiek młody,
Młodość ogień, starość lody.
A ty przeszłość mi przynosisz,
Ty moją młodość różaną
I Wenonę ukochaną.“

Długo ojciec z synem gwarzy,
Pyta, gada, odpowiada,

A potężny Mudjekeewis
Z przechwałkami rozpowiada
O swém mężtwie, duchu walnym,
I odwadze niezachwianej,
I o ciele nietykalnym.

Słucha ojca Hiawata:

Czasem tylko przyczajony
Śmiech po ustach mu przelata.
Lecz nie zdradził się ni słowem
Ani spojrzeniem surowem.
Choć, jak węgiel rozżarzony,
Całe serce w nim gorzało.
Wreszcie rzekł: „Mudjekeewisie,
Nicze w świecie twojej duszy,
Nic do strachu nie poruszy.“

A potężny Mudjekeewis
Z dumą słodką odrzekł na to:
„Nic a nic, mój Hiawato,
Tylko owa Czarna Skala;
Owa czarna skala Wawbeek!“

I to mówiąc, w syna swego
Utkwił wzrok błogosławieństwa,
Widać pysznił się ze syna.
Byłaż bo to postać rosła,

Pełna czci i dostojęństwa,
Pełna wdzięku a wyniosła.
„Mój ty luby!“ ojciec pyta,
„Nicze w świecie twojej duszy
Nic do strachu nie poruszy.“

Syn przezorny milczał chwilę,
Niby myśli w głowie śledzi,
Niby szuka odpowiedzi.

„Nic, nic,“ wreszcie mu odpowie,
„Chyba jedno tam w parowie,
Chyba to wielkie sitowie.“

Mudjekeewis się podnosi,
Sięgnął ręką po sitowie:
Syn strwożony ojca błaga
(A wybornie udał trwogę:)

„Nie tykaj się! kago! kago!“
„Kawen, kawen!“ odrzekł stary,
„Już nie będę, już nie będę.“

Więc przezorny Hiawata
Jał się innéj z ojcem mowy;
Jak żyją bracia przyrodni,
Co porabia Wabun wschodni,
Shawondasse południowy
I srogi Kabibonokka.

I o matce Hiawaty:
Jak powiła między kwiaty,
Jak się potem w rannym zgonie
Zmarło prześlicznej Wenonie.
A to wszystko wedle mowy
Nokomisy siwogłowój.

„Ach!“ zawoła Hiawata,
„Ty więc żądzą twą swawolną,
Tyś ją zabił w dni rozkwicie,
Porwałeś jęj wdzięk i życie;
Ty rozdarłeś lilie polną,
Stratowałeś pod nogami
Sam przyznajesz się do zbrodni.“
A potężny Mudjekeewis
Wiatr rozpuszcza na wiatr wschodni,
Smutnie schylił siwą głowę
I czyn przyznaje milczeniem.

Więc zerwał się Hiawata,
Groził wzrokiem i postawą
I położył rękę prawą
Na czarnej skale Wawbeek.
Ta od cudnej rękawicy
Pękła na dwie połowice,
On w odłamy je gruchota

I na ojca wściekle miota,
Co już tak miał w duszy szpony;
Ach! bo serce w nim gorzało,
Istny węgiel rozżarzony.

Lecz pan wichrów śniegowłosy,
Wymierzone odbił ciosy:
Siłą tchnienia w swoim łonie,
Nawałnicą gniewu swego.
I na wroga je odwionie,
Chwyta zaklęte sitowie;
Wydarł z włóknem od korzenia
Z śliskiej głębi na parowie. —
O! śmiał się też Hiawata.

Zawrzał tedy bój na zabój,
Wśród gór dwojga, ramie w ramie;
Orzeł skalny w gnieździe swoim
Krzyczał na stromym odłamie,
Bił skrzydłami po nad bojem.

Jako rosła kibić drzewa,
Zgięte sitowie omdlewa.
A kęsami olbrzymiemi
Wawbeek z trzaskiem w gruzy wali;
Od zamętu bójki krwawej,
Wszczyna się trzęsienie ziemi

I powietrze drga od wrzawy,
Aż gdzieś w górach uoczyście
Odgrzmiał piorun „Baimbawa.“

I nie przetrwał przeciwnika
Mudjekeewis — biegł ponury,
Biegł na góry, biegł za góry,
Het na swój zachód pomyka,
Trzy dni całe wstecz pomyka,
A za sobą wciąż miał gońca. —
Wciąż napiera Hiawata,
Aż do bram zachodu słońca,
Aż na próg zachodnich wiatrów;
Do ostatnich krańców świata,
Kędy w próżnie niebokregu
Słońce spada, jak flamingo
Co się nocą w gniazdo ciska
Na posępne trzęsawiska.

„Stój-no, stój“ starzec zawoła,
„Mój ty synu Hiawato,
Próżno silisz ty się na to,
By mię zabić — któż to zdoła
Nieśmiertelnemu śmierć zadać.
Jam chciałem tylko ciebie zbadać
I zbadałem: mocarz z ciebie,

Masz nagrodę waleczności;
Wróć do domu, wróć do ludu,
Dziel z nim dar życia i trudu,
Z brudnych tworów oczyść ziemię
I bezdenne gniazda rybie;
Wybij całe węzów plemię,
Wszystkie duchy czarnoksiężne,
Wszystkie zmije i gadziny
I olbrzymy wszechpotężne,
Jak jam zabił Miszemokwa.
A gdy śmierć już w drzwi zapuka,
Gdy groźne oko Pau-guka,
W mroku nad tobą zabłyśnie,
Synu, z tobą jam gotowy
Tron podzielić niezawisnie:
Ja ci oddam, Hiawato,
Wiatr północno-zachodowy,
Wiatr ojczysty Keewaydin.“

Tak zakończył się bój sławny
We dni Szach Szah — we dni one,
Dawno w wiekach pogrzebione,
Na stolicy zachodowej.
Jeszcze dziś przed łowca okiem,
Gdy zapuści się na łowy,

W górach, w nizach nad potokiem
Widno szczątki czarnej skały.
Jeszcze w bagnach się rozpina
Wiechorosła sitowina.

Ot i wraca Hiawata,
Świat uśmiecha się w okolo
Z góry wieje coś wesoło,
I lżej duszy, kiedy z ciała
Gorycz gniewu uleciała,
I gorączka pomsty chciwa
Już na mózgu dogorywa.

Raz się tylko jego stopy
Raz w pielgrzymce zatrzymały,
Za kupnem grotów na strzały,
Od starego strzałodziei,
A to w ziemi Dakotahu,
Gdzie kaskada Minnehaa
Tryska wśród leśnych zamętów,
Ogniem szkieł i dyamentów.

Tu strzałodziej osiwiały
Z glazów kuł groty na strzały,
Ostre groty z chalcedonu
Jaspisowe i krzemienne,

A po brzegach ożłobiane,
Twarde, śliskie, drogocenne.

Miał on córkę ciemnooką
A dziwną jak Minnehaa,
W jój źrenicy, jak w krynicy,
Blask słoneczny, grał z pomroką;
To grał uśmiech z zadumaniem.
Bieg jój zdał się pędem wody,
Włos, płynącą wstęgą wody,
Uśmiech, gwarnych wód szemraniem.
Więc od rzeki dał jój miano
I zwał córkę ukochaną
Minnehaa „Woda-Śmiechu.“

Ej! czy tylko po te strzały,
Po te strzały ostrogłowe,
Krzemieniste, aspidowe,
Zapędził się Hiawata
Aż do ziemi Dakotahów?

Ej! czy tylko Minnehaa
Nie zwabiła Hiawaty,
Nie jój wzrok półlutajony
Półwidzialny z pod zasłony?
Czy nie szelest białej szaty
Wpół widomy, nół zakryty?

Tak nieraz oczy pielgrzyma
W głębi boru szum zatrzyma,
A to szkląca Minnehaa
Wpół widome, wpół zakryte
Rzuca tęcze złotolite.

Czyjażby to myśl odgadła,
Co tam roił mózg rozgrzany,
Jakie snuły się widziadła
Po serduszku Hiawaty?
Wszystko babce rozpowiada:
Jak dotarł światów granicy,
Jak poznał wichrów pogromcę,
Zelżył, zwalczył wiarołomcę,
Lecz o strzałach ani słowa
Ani słowa o dziewicy.



POST HIAWATY.



Słuchajcież, jak Hiawata
W boru głód ofiarny znosił,
Jak się modlił — a nie prosił,
By mu głębszy rozum dano
Do połowu ryb i zwierza,
Nie o tryumf, o wygraną,
Nie o sławę, bohaterstwo;
Lecz o dolę ludów ziemi,
O ich szczęście i braterstwo.

Naprzód dźwignął wpośród boru
Mały wigwam, namiot postu,
Przyległy Wielko-Jezioru—
W samą wiosnę, w Miesiąc Liści.
I tam pościł do niemocy
Siedem dni i siedem nocy,
Snami, widmy obleżony.

Kiedy w pierwszy dzień modlitwy
Błądził po liściastym borze,
Oto królik błysnął w norze,
Łoś szedł z wiatrem do gonitwy;
Bena bażant w bęben bije,
A wywiórka Adjidaumo
Skarby liczy — a Omeme
Grzywacz dziki gniazdo wije.
Tam się dzikie gęsi Wawa
Krzyżąc, długiem stadem wleką,
Ku północy na bagnisko
Górą nad nim — a daleko!
„O! mój Stwórco!“ rzekł boleśnie,
„Zaliż na téj marnéj rzeczy
Ma się ważyć byt człowieczy!“
Gdy w modlitwie na dzień drugi
Puścił się w trawiaste smugi,

Co szły w rąbek brzegiem wody,
Oto ryżu stoją łany,
Agrest złotem nakrapiany,
I czernice i jagody
I latorośl winogrona,
Po olszynach rozwieszona,
Aż powietrze drga od woni.
„O! mój Stwórco!“ rzekł boleśnie,
„Zaliż na téj marnéj rzeczy
Ma się ważyć byt człowieczy!“

Gdy trzeciego dnia modlitwy,
Stał i dumał przed jeziorem,
Gubiąc ducha w wód topieli,
Oto nad szklannym przestworem
Jesiotr błysnął dwojgiem skrzeli;
Skroplił morze w sznur perłowy,
Za nim okoń złotogłowy,
Za nim sunął się rak rzeczny,
Za nim szczupak, istnie w morzu
Utopiony blask słoneczny.
„O! mój Stwórco!“ rzekł boleśnie,
„Zaliż na téj marnéj rzeczy
Ma się ważyć byt człowieczy!“

Gdy nadeszła doba czwarta

Leżał w namiocie bez siły,
Gdzie mu liście łożem były,
A źrenica wpółotwarta,
Patrzy we mgle snów i widem
Na krajobraz wirujący,
Na zwierciadła wód bez końca,
Na przepyszny zachód słońca.

I stało się, że z uboczy
Młodzian jakiś, przystrojony
W ubiór żółty i zielony,
Przed ofiarny namiot kroczy.
Kroczył zwolna — (a już było
Słońce krwawo zachodziło).
Skroń zielone pióra kryją,
Złotem kędziory się wiją.

Długo, stojąc w progu chaty,
Wzrokiem żalu i litości
Patrzył w oczy Hiawaty,
W blade lica, zwiędłe szczęki.
I tym głosem, co to jęki
Ciepłych wiatrów przypomina,
„Słuchaj Hiawato!“ rzecze
„Twoje modły wysłuchane,

Bo to modły nie człowiecze,
Bo się modlisz, nie jak drugi,
By ci głębszy rozum dano
Do połowu, do żeglugi;
Nie o tryumf, o wygraną,
Nie o sławę, bohaterstwo;
Lecz o dolę ludów ziemi,
O ich szczęście, o braterstwo!
Ja posłannik króla bytu,
Ja Mondamin, który całym
Sercem ludy ukochałem,
Jam tu zeszedł uczyć ciebie,
Ty walkami, ty trudami
O co prosileś, zdobędziesz.
Powstań tedy, Hiawato,
Powstań, ze mną walczyć będziesz.“

Umęczony świętym głodem,
Hiawata wstaje z łoża;
Wyszedł na świat z mrocznej chaty,
A tu jeszcze światłość boża
Mocno świeci przed zachodem.
I bój wszczyna z Mondaminem.
Ledwie wszczął — wnet nowa siła
W krwi i mózgu zatętniła,

Żywot nowy, moc, otucha
Ogarnęła jego ducha.

Tak walczyli nieznekani
W obec słońca zachodniego.
A im dłużej bój się sroży,
Tém potężniej siłę mnoży;
Aż okryła ich pomroka
I Szu-szu-ga, czapla biała,
Co tam kędyś w bagnach gości,
Odezwała się z głęboka,
Zajęczała, zakrzyczała,
Hasłem głodu i żalości.

„Dość!“ z uśmiechem rzekł Mondamin
„Hiawato, dość już znoju,
Ale jutro przed zachodem
Znów wyzywam cię do boju!“

I znikł poseł władcy świata.
Oj, nie zgadnie Hiawata,
Czy on z deszczem tu napłynął,
Czy z wieczoru mgłami zginął.
Tylko ujrzał się samotno;
Znów znekany, głodem zdjęty
I mdlejący — a nad tonią

We mgle stanął całun biały,
Po nad głową gwiazdy drżały.
Dnia drugiego, skoro słońce,
Niby płomień gorejące
Na wielkiego ducha trzonie,
Z wysokości niebokręgu
Zapadało w nocne tonie,
Już Mondamin znów przychodzi
Bój rozpocząć z Hiawatą.
A szedł cicho — jak ta rosa,
Co z próżni eterów wschodzi,
Między ziemię a niebiosa,
Tknąwszy ziemi, kształty bierze,
I znów gubi się w eterze,
Lecz przed ludźmi niewidomo
Kiedy przyszła, kiedy znikła.
Tak trójkroć w zapasy biega
W obec słońca zachodniego.
Aż oblekła ich pomroka.
I Szu-szu-ga, co tam gości
Kędyś na bagnie, z głęboka
Dzikiem hasłem się ozwała,
Hasłem głodu i żalości.
Aż zasluchał się Mondamin.

W żółto-zieloném odzieniu
Rosły, śliczny stał Mondamin,
A po każdém jego tchnieniu
Drżą mu pióra na ciemieniu,
Pot strugami skroń okolił;
Boć się w boju umozolił.

„Słuchaj, rzeczce, mój ty luby,
Dzielnie walczysz, Hiawato,
Wielki duch, co patrzył na to,
Uwielbi cię za zwycięstwo.
Jutro, Hiawato luby,
Ostatni dzień postu twego,
Ostatni dzień walk i próby.
A zakończy je zwycięstwo!
Więc mi uczyn' ciche łoże,
Nad tém łożem wiatr niech wieje,
Ciepłe słońce promienieje;
Zdejm dwóbarwne szaty moje,
I z piórami powiewnemi
Złóż je w ziemię, a w téj ziemi
Lekko, wolno niech mi będzie;
Niech mię we śnie cudza ręka,
Zieleń, robak nie unęka,
Ni kruk czarny snu nie skłóci,

Ty będziesz strażą nademną,
Aż się wzbiję w moc tajemną,
Z łoża wstanę — żywót wróci
I wschód słońca mię ocuci.“

Rzekł i zniknął — Hiawata
Drzemał cicho, lecz w téj ciszy
To jęczenie sowy słyszy,
Co przyległa gdzieś w pobliżu,
To strumyk, co w biegu skorym
Coś tam gwarzy z ciemnym borem;
Słyszy gałązki szemranie,
Jak przysiadła, znów powstanie
Za tym wiatrem co przelata,
Wszystko słyszy — ot, jak we śnie
Ucho słyszy gwar daleki:
Cicho drzemał Hiawata!

Na siódmy dzień jego postu
Rankiem idzie Nokomisa
I posilek mu przynosi,
I częstuje, płacze, prosi,
By się głodem nie zamorzył,
By swą głową nie nałożył.

Gdzie tam — ani słuchał tego,
Tylko rzekł jój: „Nokomiso!

Zaczekaj na zachód słońca,
Aż ciemności nas oblegą
I z bagien czapla da hasło,
Że na świecie już zagasło.“

Więc odeszła zapłakana,
Zdjęta strachem, by młodziana
Nie odbiegły wszystkie siły,
By go posty nie zabiły.
A on czekał spracowany
Na przybycie Mondamina.
W tém podłużny cień przez łąny
Ku wschodowi się rozpina,
Z horyzontu słońce spadło,
Na zachodnich wód zwierciadło,
Jak czerwony liść z jesieni
Utracony w strumyk pada,
I w strumyku się czerwieni.

Patrzcież! idzie gość cudowny,
Strój ma żółty i zielony,
Włos jedwabny, połyskowny,
W długie pióra zatrefiony.
We drzwiach staje, dał skinienie,
Jak lunatyk co w śnie kroczy.
Kiedy ujrzał Mondamina

Blady, mdły, lecz niezwalczony
Wstaje z łoża syn Wenony,
Z Mondaminem bój poczyną.

W koło niego, świat się mroczy
I pijanym wirem wieje,
Las i niebo kręgi toczy,
Krew się rzuca, serce bije,
Jak wyz, w sieci uwięziony,
Rzuca się, by stargać oka.
Widnokrąg, jak gorejąca
Obręcz, pali się czerwono;
Na tę walkę wysiloną,
Zda się, patrzą setne słońca.

Zeszła chwila.... na kobiercu
Tkanym z darni, Hiawata
Stał sam jeden — w jego sercu
Wysilone biło tętno
I gwałtownie krew się miota,
A w pobliżu Hiawaty
Blady, zimny bez żywota
Legł Mondamin — jego szaty,
Kędzierzawe włosy lniane,
Szkłące pióra — potargane:
Legł i skonał o zachodzie.

Jak był nakaz, tak poczyna
Zwycięzki nasz Hiawata:
Wyrył grób dla Mondamina,
Z piór rozebrał jego głowę,
Zdjął suknie dwukolorowe,
W grób położył, by nad niemi
Lekkiem było brzemie ziemi.
Jakże smutno gdzieś na niwie
Modra czapla zajęknęła,
Zająknęła rozpaczliwie,
A tak z żalu po umarłym!

Nuż do babki Hiawata —
Puszcza ginie mu z przed oka,
I dokonał się zwycięzko
Siedmiodzienny post Proroka.
Lecz to miejsce niemięte,
Kędy walka się spełniła
I zwycięztwo i mogiła,
Gdzie złożone ciało święte
Cudownego posłannika.
Włos stargany, pióra lśniące
Deszcz obmywa, wiatr przenika,
Zachodowe pali słońce.

I dzień za dniem, trzyma czaty

Nad umarłym, by mogiła,
By mu ziemia lekką była.
To odpędza rój skrzydlaty
Nad cudownym posłannikiem,
To Kakadze króla kruków
Groźną ręką i okrzykiem.

Aż ci mały kiel zielony
Wyklął się z pod czarnoziemu,
Kły za kłami po jednemu
Wypuszczały na przegony;
I nie ubiegło pół lata,
Kiedy w stroju złoto-szatnym,
Wstała śliczna kukuruza.

„Patrzcież krzyknął Hiawata,
Patrzcież! a wszak to Mondamin!“

Zaraz zwołał Nokomisę,
Arcybajarza Jagoo;
Odkrywa im ziele cudu
I tajemne swe widzenie,
Walkę swoją i zwycięstwo,
A w nagrodę mąk i trudu
Niebывały dar dla ludu,
Co go żywić ma na wieki.

A gdy potém jesień parna

Wyzłociła liść dostały,
I soczyste pulchne ziarna
W żółtą perłę skamieniały,
Miotły złote wziął na żniwa.
I jak niegdyś strój z młodziana,
Zwiędłą łuskę z nich obrywa.
Odtąd naród dzień ten święci
Dla wiekuistej pamięci,
I rozbiegła się wieść głucha
O tym darze arcyducha.



VI.

PRZYJACIELE HIAWATY.



Dwóch miał wiernych przyjacieli;
Co, wybrani przed wszystkiemi,
W głębi duszy mu siedzieli:
Wielki muzyk, Chibiabos,
Kwasynd, wielki mocarz ziemi.
On im w doli i niedoli
Oddał serca rękę prawą,
Środkiem nich szła prosta ścieżka.
Nieporosła nigdy trawą.

Żaden ptaszek, co fałsz sieje,
Ni plotkarze, lichodzieje
Nie skłócili ich miłości;
Wspólni myślą, radą prości,
Nagie serca w usta kładli;
Nie skąpili trosk i pieczy,
By uzacnić ród człowieczy.

A już nikt, jak Chibiabos,
Żywiój serca nie przymami;
Pierwszy między gęślarzami,
Pierwszy między pieśniarzami,
Chibiabos Wieszcz natchniony,
Śliczny, duszę miał dziecięcia,
Dzielność męża, słodycz żony,
Giętki, jak wierzby odnoga,
Poważny jak łań dwuroga.

Niech zaśpiewa — to wieś cała,
Wojacy się cisną zgrają,
I niewiasty go słuchają;
A on serca swoich gości,
On ich duszę, to rozżarzy,
To roztopi do litości!
Śpiewak, śpiewak, król pieśniarzy.
Co za fletnię żałośliwą

On wykroił z żółtej trzciny;
Kiedyż strumień, Sebowisha,
Przestał mrużyć wśród gęstwiny,
Kiedy ptaszki grać przestały,
I Wabasso królik biały
W górę podniósł się i słucha,
Wiewióreczki Adjidaumo
Liczyć skarby zaprzestały.

Tak! tak! strumień Sebowisha
Stanął przed nim »o! Chibiabos
Ucz mię“ rzecze »niech te zdroje
Tak się sączą melodyjnie,
Jak w śpiewaniu słowa twoje.“

Tak! a modry Owaissa
Czyż mu nie rzekł: »Chibiabos!
Naucz ty mię dzikich, ślicznych
Twoich pieśni fantastycznych.“

A nie mówiłże Opechee,
Co gardziołek ma czerwony,
„O daj, daj mi, Chibiabos,
Te weselne, rzewne tony,
Te słodziuchne pieśni twoje.“

„Gdybym to ja,“ rzekł szlochając,
Posepny Wawonaissa

„Miał te dźwięki rzewnosłowe,
Te piosenki zadumkowe!“

Wszystkie głosy przyrodzenia
Słodycz brały z jego pienia;
Czarodziejską jego siłą
Serce ludów się miękczyło.
Bo też śpiewał — to urodę,
To smutek, miłość, swobodę;
Czasem pieniem cudodzielnym
I o śmierci coś zanuci,
O żywocie nieśmiertelnym,
O wyspie Błogosławionój,
O królestwie Ponemahu,
O dziedzinie Tamtej strony.

Nikt, o nikt, jak Chibiabos,
Żywiój serce nie przymami:
Pierwszy między pieśniarzami,
Pierwszy między gęślarzami.
Tak w nim kochał Hiawata
Serce dziecięce, duch mężki
I śpiew jego czarnoksiężki.

Był też drogim Hiawacie
Kwasynd, mąż na całej ziemi
Pierwszej siły, pierwszej mocy

Między ludźmi śmiertelnemi.
Był mu drogi straszną siłą,
Co ją serce łagodziło.
A z dziecka był leniuch z niego,
Leniuch, drzymek, ociążały;
Ni to rybak, ni myśliwy,
Ni on tam, gdzie dziatki grały.
Niby dziecię a nie dziecię;
Tylko modli się i pości
Do ducha opiekuńczego,
Stworzyciela wszechistności.
„Ty leniwcze, mówi matka,
Nie w smak tobie trud i chatka,
Latem w łąkach i po lesie
Pędzisz, dokąd wiatr poniesie.
Za to w zimie się wysypiasz
Na ognisku rozegrzaném.
W mróz trzaskący całą zimę
Ja przeręble w lodach robię,
A nie wesprę się na tobie.
Oto na drzwiach wiszą sieci,
Patrz! z nich woda strugą leci,
Weź je wyzmij, spiąca duszo,
Niech na słońcu się wysuszą.“

Nie rozgniewał się chłopczyzna,
Tylko zwolna wstał z komina,
Wyszedł z izby, ściąga sieci,
Prawda, woda strugą leci.
Niósł tak lekko, jak garść słomy.
Sieć mu pękła, gdy ją zżyma:
Bo już kroił na olbrzyma.

„Ty niezdaro, ojciec rzecze,
Ty mi w łowach nie pomagasz:
Nie ma łuku, nie ma strzały,
By w twój ręce nie trzaskały,
Chodźże w las, ja zwałę zwierzę,
Ty przydźwigasz na wieczerzę.“

Wązką ścieżką się puścili
A strumyczek ich prowadził.
Tam na brzegu wzdłuż po szlamie
Żubr wycisnął stopy znamię.
Idą, idą — aż przed niemi
Naraz droga się zaparła;
Wszerz i wzdłuż od samej ziemi
Wielkim stosem powalone,
Sterczą drzewa z korzeniami,
Pół zbutwiałe, pół zielone,
I ścieżkę zarygłowały.

„Wróćmy, rzeczce ojciec stary —
Tu jarząbek nie przelézie,
Wywiórka się nie przegryzie
Przez te kłody i konary.“

Rzekł, usiadł, lulkę zapala,
I z dymem dumy wysnuwa.
Nim dokończył lulki swojej,
Już narozcież droga stoi,
W prawo w lewo syn się krząta,
Pnie odsuwa, drzewa sprząta,
Cedry, sosny, lotem strzały,
Rzutem włóczni z rąk spadały.

„Ty leniuchu, młodzian woła,
Uragając, czemu wsparty
O tę skałę, czemu gnuśnie
Rozglądasz się dookoła?
Pójdźże, pójdź na zakład mocy
Wypuścimy kamień z procy.“
Żeby jedno rzucił słówko,
Za tym żartem i przymówką —
Nie! tylko się ruszył zwolna,
Ujął w palec grubą skałę,
Podważył, wyrwał ze skały,
Rozkołysał chwilę małą,

Cisnął prosto w rzeczne wały:
Jeszcze dziś przy letnim blasku
Widać skałę na dnie piasku
W rączych nurtach Pauwating.
Raz kjedy z towarzyszami
Na ten rączy Pauwating
Prądem pian i mętnój fali
Puścił się — oto w oddali
Widział Ameek, króla bobrów,
Jak pasuje się z prądami
To pod falą, to na fali.
Kwasynd milczy — lecz nie zwleka,
Skoczył w rzekę — nad nim rzeka
Siatką bąbli się osnuła,
On pod wodą ściga zwierza,
Poluje w nurtach topieli,
A tak długo, że już w łodzi
Towarzysze potruchleli.
„Ach! wołają, ach! już po nim,
Już Kwasynda nie ochronim.“
W tem wypłynął tryumfalnie,
A nad białemi ramiony,
Okapując z kropli wody,
Sterczał karkiem, w krwi zboczony,
Martwy Ameek, król bobrów.

Więc jak rzekłem, dwóch wzajemnie,
Dwóch pokochał przyjacielei
Wzajemnie a nie daremnie:
Chibiabosa — bo śpiewaka
I Kwasynda — bo junaka.
Nigdy w zgodzie nie upadli,
Nagie serce w usta kładli,
Nie skąpili trosk i pieczy,
By uzacnić ród człowieczy.



VIII.

HIAWATA ŻEGLUJE.



Kory, kory daj mi swojej,
Brzozo moja, brzozo mleczna,
Coś tu wzrosła na porzeczu
Urodziwa i stateczna!
Kory żółtej, niech ja sobie
Lotną łudkę z niej wyślubię,
Coby mi się, jak jesienny
Liść lub wodna lilia biała,
Po téj fali uwijała.
Zdziéj tę suknię ubieloną,

Tę śnieżno-skórną oponę,
Bo już lato ku nam idzie,
Raźniej słońce grzeje z nieba,
Tę odziewki już nie trzeba.“

Tak na bezludnej dąbrowie
Przymawiał się Hiawata
Nad brzegami Taquamenaw.
A grali mu tam ptaszkanie,
Grali mu w miesiącu liści,
I budząc się po wywczasie
Słońce wstaje — mówić zda się:
„Patrzcież na mnie, jam to słońce!
Jam to Geezis — Wielkie Słońce.“
Coś wionęło: brzoza cała
Wszemi listki zaszumiała,
I w tym szumie tak odpowie
Proszącemu młodzianowi:
„Bierz mą suknię, Hiawato.“

Więc okroił nożem drzewo
Tuż przy ziemi, kędy dolna
Gałąź z korzeniem się łączy —
A za ostrzem płyn się sączy.
Gdy pień spadł, od tła do góry
Odarł brzozę z białej skóry,

Całą klinem ją podwaza,
Obluskuje — nie uraża.

„Cedrze! daj mi twych gałęzi,
Silnych, giętkich, niech na fali
Ukrzepiona łódka moja
Silniej stoi i wytrwałej“
Zaraz w cedrze nad konarem
Zaszumiało trwożnym gwarem,
I głuchym szmerem oporu
Aż cedr ugiął się i rzecze:

„Bierz gałęzie Hiawato.“
Zaraz z cedru padły ścięte,
Dwa konary — on konary
Ciosał, żłobił, aż wyżłobił
Na dwa łuki w jeden spięte.

„Daj korzeni Tamaraku
A włókiennych — daj modrzewiu!
Trzaż to związać łódkę moję,
I tak związać, by się do mnie
Zdrój nie wcisnął wiarołomnie,
By mię rzeka nie zrosiła.“
Biedne drzewko — wszystką siłą
W powietrzu się zakręciło.
Kolcem tyka jego skronie

I odrzekło smutném tchnieniem:

„Hiawato, jać nie bronię,
Zabierz wszystko Hiawato.“

Więc korzenie wyrwał z ziemi,
Wszystkie włókna Tamaraku,
Całą łódź zeszywa niemi
I przytwierdza do podstawy.

„Jodło, daj mi maści twojej,
Daj żywicy i balsamu,
Niech się każdy szew tam spoi,
By mię woda nie dopadła,
By się rzeka nie zakradła.“

A wysoka, smutna jodła
Z ciemnej szaty szum wywiodła,
Zajęczała, zaszumiała,
I rzecze mu: „Hiawato,
Ja nie bronię méj żywicy.“
Zebrał tedy łyż balsamu,
Maści jodły i żywicy,
Nie minął rysy, załamu,
Ani szwu bez pomaszczenia.

„Jeżu, jeżu, igły twoje
Wszystkie igły daj, przez łaskę,
Ja dla lubej z nich wykroję

I naszyjnik i opaskę,
Parę gwiazd na skrycie łona!“

Rzeknął, jama się otwiera,
Z głębi jamy jeż wyziera
Spijącém okiem i odrzucił
Wszystkie igły, niby strzały.
Mruknął sobie — a te mruki
Z szmerem wąsów się gmatwały:
„Naści igły, Hiawato!“

Hiawata igły zbiera,
Upisał je na trzy barwy:
Złota, błękitu, czerwieni,
Sokiem jagód i korzeni
I poniósł je do swój łodzi.
Tam naszyjnik wdział na szyję,
Biodra przepaską obwodzi
I parą gwiazd piersi kryje.
Więc nad rzeką, z lasów łona
Wyciosana, wyżłobiona
Stoi rączka łódź brzozowa,
Życie lasów w niej się chowa,
Wszystka moc ich i tajniki,
Chowa lekkość białej brzozy,

Lepkość jodły, cedru siła,
I subtelność modrzewiowa.
To też w nurtach się zwijała,
Jak płynący liść jesienny,
Albo wonna lilia biała.

Hiawata nie miał wiosła —
A to na co? — myśl wyniosła
Wiosłem była — mężkie chęci
Łodzią jego sterowały;
Wolno, szybko, jak on każe
W prawo, w lewo łódź się kręci.

„Chodźże, woła na Kwasynda
Chodź, mocarzu pełen chwały,
Pomóż mi oczyścić rzekę,
Są tam kłody, są wymiały.
Zaraz Kwasynd w nurty hasa,
Iście wydra lub bóbr śmiały,
Naprzód fale mu do pasa,
Potem żebra mu zabrały.
Rwie się, krzyczy w nurtach wody,
Ściąga powalone kłody,
Ławy piasku targa dłonią,
A stopami, kępy mułu.

Tak po rzece pianą wzdętą

Żeglował mój Hiawata
Przez głębie, wyrwy i brody
I wytoki i zakręty —

A przyjaciel oprowadza,
Głęb przeszywa, bród przesadza.

Tak w górę i wstecz przebytą
Z wymiałami wszem przestworem,
Z ław i piasku oczyścili.

Wymiecione jój koryto

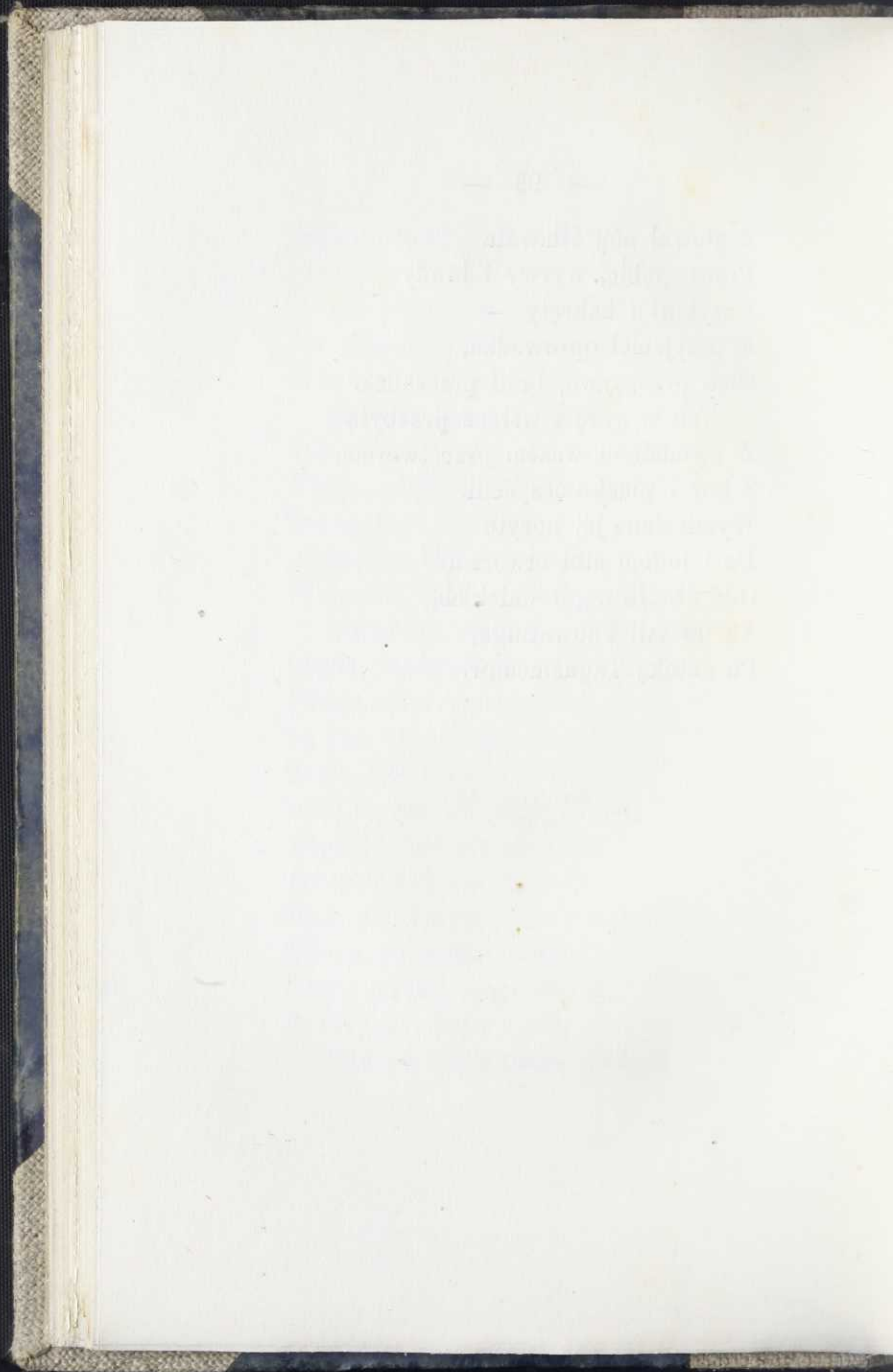
Dziś ludom stoi otworem:

Ode źródła z gór dalekich,

Aż do fali Pauwatinga,

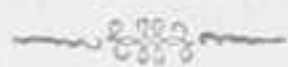
Po zatokę Taquamenaw.





VIII.

POŁÓW RYB.



Dalejże na Gitche Gumee,
Na przezrocza Wielkiej wody,
Dalej, ty pogromco młody!
Na jesiotra wędkę bierze,
Wędkę wita z kory cedru,
Na jesiotra Mische Nahma,
Co był królem nad rybami,
Sam się waży, sam bez wiosła,
A brzozowa łódź go niosła.

Oto w szklanych głębiach wody
Tam gdzieś daleko w przepaści

Uwijają się narody
Ryb i rybek — żółty okoń,
Co się zdawał, jak słoneczny
Promień, w głębiach utopiony
I Shawgashee, rak rzeczny,
Co się zdał jak pajak czarny
Nad białemi piasku ziarny.

Hiawata siadł na sterze,
W dłoń cedrową wędkę bierze:
Jak z gałązką, dmąc ukosem,
Wietrzyk igrał z jego włosem,
Wywióreczka płowo-gniada
Na ramieniu mu usiada,
A jak trawkę, wiatr wschodowy
Włos jój targa gniado-płowy.

Na białym piasku koryta,
Leży potwór Mishe-Nahma,
Co był królem nad rybami,
Dychawkami wodę chwyta
I wachlując dwojgiem skrzeli,
Zmiata piasek z dna topieli.

Owo cały zbrojno leży
Z obu stron dwojgiem puklerzy,
Ciało, kryje szyszak z rogu,

Grzbiet i barki, tarcza z rogu
Gęsto kolcem najeżona.
I barwę miał jak na wojnę:
Smugi żółte i szkarłatne,
Cętki czarne i brunatne.
I tak groźnie pod topielą,
Wachlując czerwoną skrzela,
Leżał mocarz rybożerny,
Mishe-Nahma dwupancerny,
Na podwójnej piasku skibie.

„Pójdź do wędki!“ Hiawata
Wgłęb ku niemu wywołuje,
„Pójdź na wędkę wielkorybie,
Pokaż nam się z po pod fali,
Będziem siły probowali.

Rzekł, zapuszcza drąg cedrowy
W przezroczystą szybę wody;
Lecz coś długo okiem śledzi,
Długo czeka odpowiedzi,
A doczekać się nie może.

„Nuże, woła coraz głośniej,
A nie wyjdiesz mi potworze.“

Cicho leży Mishe-Nahma,
Lekko ze dna piasek zmiata,

Tylko słucha — a tu za niém
Wywołuje Hiawata
Ciągłém, ciągłém urąganiem.
Aż dojęło go do żywa;
Więc z pogardą się odzywa
Do Maskenozha szczupaka:
„Słyszysz — nauczno junaka —
On tu szydzi — skrusz mu wędkę!“

Zaraz poczuł syn Wenony,
Że mu wędka drgnęła w dłoni;
Gdy ją ściągnął, to szarpnęła,
Tak, że łódka w pion stanęła,
Jak sterczący drąg z pod toni.
A na szczycie w skok przysiada
Wywióreczka płowo-gniada.

Jakże wtedy nie zaszydzi
Hiawata, kiedy widzi,
Że szczupaczek Maskenozha
Coraz bliżej mu nadpływa;
Nie mógł ścierpieć i zawołał:
„Esa, esa, a wstydzże się,
Czyż to ciebie wędka mami,
Tyś prosty szczupak Kenozha,
Ale nie król nad rybami.“

Jak niepyszny w głąb się puści,
Do przezroczej wód czeluści.
A potężny jesiotr Nahma
Wola rybę — słonecznika:
„Słyszysz — pójdzno, skrusz mu wędkę
On coś bardzo nam przytyka.“

Zwolna, w górę, a nieśmiało,
Szklniąc się, niby księżyc wodny,
Wstał Słonecznik światłorodny,
Chwycił wędkę Hiawaty,
Zawisł na niej wagą całą,
Skręcił wodę i łódź drżącą
Porwał w zamęt kołowaty,
W kręgi wzdęte bałwanami.
Aż te kręgi na wymiały
Piasków nadbrzeża dostały,
I sitowia z żółtą lilią
W dali się zakolysały.

Gdy go ujrział Hiawata,
Jak przeciąga wskrós topieli,
Przed nim wielka tarcza z bieli,
Nie wytrzymał, szydząc woła:
„Esa, esa! a wstydzże się,
Czyż to ciebie wędka mami,

Tyś jest rybą — Słonecznikiem
A nie królem nad rybami.“

Więc spłoszony, więc struchlały
Słonecznik powraca w głębie,
A do słuchu Mische-Nahmy
Znowu groźby dobiegały
Pod przezrocze wód kryształy,
Groźby, wyzwany, urągania.

Już nie ścierpiał — ze dna rzeki
Powstał gniewny — wybuch złości
Wszystkie włókna w nim poruszył,
Wstrząsnął zbroją kutą z kości;
On promienny barwą boju,
Wręcz ku światłu słonecznemu
Z wód potworną paszczą obnaża,
Paszczą zionął i pochłonał
Czólno, wędkę i żeglarza.

W szerokiej paszczy Mische-Nahmy
Zatopił się Hiawata.
Tak zwałoną z brzegu rzeki
Niesie kłodę wir daleki,
I zjęły go czarne nocny
Bez widoku, bez pomocy,

Aż poczuł, że straszną siłą
Serce wroga w mroku biło.
Więc na serce cios podnosi
Gniewną pięścią, aż złowieszcze
W każdym włóknie poczuł dreszcze
Mishe-Nakma, bicz łososi.
Ranny w serce i omdlały,
Gdy się szarpie, tarza w pieni,
On łódź swoją w szerz odwrócił;
By go potwór na bezdeni
Z czeluści swych nie wyrzucił,
Szaleń bółu rozwścieczony,
Na zagubę nieomylną.
A wiewiórka płąsa, trząsa,
Pnie się, szarpie, rączo, śmiało
Z Hiawatą — tak jój pilno,
By się dzieło dokonało.

No no! rzecze Hiawata:
„Przyjacielu mój maleńki,
Wsparłeś ty mię trudem dzielnym,
Ja ci w zamian oddam dzięki;
Uczczę mianem nieśmiertelném,
By cię zwały niém na wieki,

A zwać będą — pacholeta,
Adjidaumo: „góraż ogon.“

Jeszcze chwilę z biegiem prądu
Płynął wróg, dysząc pod wodą,
Ucichł wreszcie i do lądu
Snać się włókł, bo Hiawata
Po suchym szeleście zwiru
Poczuł, że już koniec biegu;
Że potężny Mishe-Nahma
Resztą sił dociera biegu,
Że już martwy legł na brzegu.

Cóż to słyhać? — wrzawę, bicie,
Jakby razem setnych skrzydeł
Krzyk i gielk nieodgadniony,
Jakby orły szły na szpony,
I mieszane słyszy śpiewy,
Ot i jakiś blask nad głową,
Wskrós przez zebra Mishe-Nahmy.
To oczami świecą mewy
Siostry, mewy otworami
Wpatrują się w Hiawatę
I wołają na wyścigi:
„A widzicież wy tam brata,
Wszak to brat nasz, Hiawata.“

On też długich zwłok nie czyni —
„Mewy, mewy siostry moje,“
Ozwał się z głębi jaskini,
„Jam zabójca Mishe-Nahmy,
A rozwiedźcież tu otwory,
Rozeprzyjcie dziobem jamy,
Bym raz wyszedł już z więzienia,
I był wolny — siostry mewy
Za to wiecznie ludzkie syny
Ze czcią wspomną wasze czyny,
Zowiąc was Kayoshk-mewami
A tak „Kayoshk“ drapaczami.“

Mewy dzikie, hałaśliwe
Szponem, dziobem wnet do dzieła,
Wnet w olbrzymich żebrach Nahmy
Szczelina się rozsunała;
I z pod groźby, z pod zapory,
Z głębi potwornój gardzieli,
Porwany na dno topieli,
Wyzwolił się Hiawata.

Oto stanął na urwisko,
A tuż przed nim chata blisko;
Zaraz woła Nokomisę
Głosem i skinieniem ręki,

A tam leży Mishe-Nahma
Martwy potwór, groźnej szczęki,
A robocze mewy zgrają
Uczę z niego wyprawiają.

„Patrz, zawoła, jam go zabił,
Mishe-Nahma był ryb królem,
Dziś trawią go ptaków roje,
Tak, to mewy — siostry moje;
One w otchłań wtrąconemu,
One życie mi wróciły;
Babko, nie płosz tego stada
Aż się skończy ich biesiada,
Aż nabiją pełne wola,
A kiedy już zajdzie słońce,
Rozlecą się w cztery końce
Do ojczystych gniazd na bagna,
Wtedy przyjdiesz z naczyniami
Będziem olej bić na zimę.“

Więc czekała do wieczora,
Aż się zatlił z pod jeziora
Błady księżyc — słońce nocy.
Alić mewy ugoszczone,
Wstały krzycząc — już nie z głodu.
I z krwawym blaskiem zachodu

Na dalekie wyspy lecą,
Do ojczystych gniazd w sitowie.
 Idzie spocząć wnuk wesoly
A staruszka na mzoły
Długo nocą pracowała,
Aż się księżyc z słońcem zmienił
I wschód niebo zarumienił.
Kayoshk mewy zagłodzone
Znów rzucają swe ostrowy
Dla téj uczyty porankowéj.
A tak dni i nocy troje
I Nokomis i ptaszęta,
Łuszczą z mięsą zdobycz swoję,
Aż do naga obłuskali,
Aż się zebra kąpią w fali
I mewy już nie przylecą,
A na piasku i kamykach
Tylko białe kości świecą.



IX.

HIAWATA I KRÓL PERŁOWY.

Na pomorzu Gitche-Gumee,
Szumią fale Wielkiej-Wody;
Wyszła Nokomis zgrzybiała
I na zachód wskazywała,
Wciąż na zachód wskrós powodzi,
Zkąd czerwony wieczór wschodzi.
Na odchodnym ogniów krocie
Wzdłuż po niebie słońce sieje;
Za niem niebo płomienieje,
Jak za wojskiem, co w odwrocie

Step zapala po za sobą.
Tymczasem z kryjówek wschodu
Słońce nocy, księżyc blady
Idzie w krwawe słońca ślady,
Za ognistym jego ślakiem,
Z jego odblaskiem na twarzy.

Nokomisa wciąż wskazując
Ręką swoją ku wschodowi,
Tak przed wnukiem się wysłowi:
„Hen tam mieszka Król Perłowy
Megissogwon, Czarnoksiężnik
Pan na skarbach i Wampumie,
Strażą mu ogniste smoki
I smoły czarne potoki.
Ujrysz, jak ognista zmija
Kenabeek, wielko-zmija
W brudnym kale kręgi zwija,
I smoły czarne potoki,
Co się za nią ciągną w górę
Aż po zachodnie obłoki.

„Onto zabił mi rodzica
Czarodziejsko i zdradziecko,
Gdy starzec, z pełni księżyca
Zszedł na ziemię po swe dziecko.

Czarodziej nad czarodzieje,
On, co zarazą po ziemi,
Chorobami z bagien wieje,
On, co pierśmi zatrutemi
W brudny wyziew świat obleka,
Mgłę zabójczą, śmierć morową
Szle na biedny ród człowieka.
„Więc ci pora zażyć luku,
Strzały twojej, luby wnuku,
Bierz maczugę Puggawangun,
Rękawice czarnoksiężkie,
Łódź brzozową od żeglugi,
A namaścisz pierw jej boki
Mazią ze krwi Mishe-Nahmy,
By się snadniej prześliznęła
Przez smoły czarne potoki;
Zabij go bez miłosierdzia,
A tak pomsta się dokona
Za śmierć dziada — i od moru
Ludzkość będzie wybawiona.“

Nie odwleka Hiawata,
Co miał zbroi, wszystkie bierze,
Łódkę swoją z ładu spycha,
A gdy odbiła od brzegu

Tak podnieca ją do biegu:
„Ty brzozowa łódka moja,
Ty kochanko spiesz mi, spiesz mi!
Tam za ognistą gadziną
Smolą czarne rzeki płyną.“

Rączo pędzi łódź po zdroju,
Zagrzewał ją Hiawata,
Tęsknym, dzikim hymnem boju,
A nad głową coś odgrzmiało,
To Keneu, orzeł skalny,
Król wszech ptaków strojny w pierze,
Grzmiąc, żegluję po eterze.

Już wpłynął na ziemię smoków
Kenabeek — wielko-żmij,
Co zaległy brudne skały,
Ziejąc skrami, płomieniami,
W poprzek drogi się tarzały.
Paszcze smoków, łby czubate
Żywnym ogniem gorejące,
Precz przechodnia odstraszały.

Oj! nie zadrzał Hiawata,
Nie, nie — piersią zagrzemiał silną:
„Podły płazie precz mi z drogi
Słyszysz? z drogi, bo mi pilno!“

A gadzina wśród wybuchu
Ognia z paszczy, odsyknęła:
„A nie pójdziesz Shaugodaya,
A do babki niewieściuchu!
Jak nie porwie Hiawata
Za swój groźny łuk z jesionu
I pociski z chalcedonu,
Jak nie puści na ród smoczy!
O! za każdym skrzypem łuku
Grzmiało krwawe hasło boju,
O ilekroć grot zaśwista
Kona żmija płomienista.
Martwo pada smok na smoka,
Własna broczy ich posoka,
A środkiem trupów wesoly
Płynie młodzian wykrzykując:
„Chyżo, chyżo, łódko moja
Tam na czarną rzekę smoły!“
Zaraz mazią jesiotrową
Maści przegub jój i boki,
By się snadniej prześliznęła
Przez czarne smoły potoki.
Tak przesuwiał się noc całą,
Przez tę rzekę obutwiałą,

Gnuśną, śpiącą, bez odcieków
Zarosłą pleśniami wieków
Lasem trzciny czarnej, zgniłej,
Sitowiem i lilią wodną,
Ale martwą zieworodną
Wieczną, śpiącą, nieruchomą.
Czasem księżyc tam zaświeci,
Ale jakby pokryjomu
Lub jak błędny ognek nocy,
Który w nocnej zawierusze
Zapalają zmarłe dusze.

Od księżycy świat lśnił biały,
W cieniu czarnym wody stały,
A moskity po nad głową
Pobrzękują pieśń bojową;
Owdzie drobna szkląca mucha
Chce mu światłem zmylić drogę,
Owdzie zaklęta ropucha
Głowę księżyc mu zasłania,
Rozdziawiła żółte oczy,
To zaskoczy, to zeszkoczy;
Za nią spleśniałe sitowie
W tysiąc krzekotów odpowie;
Tylko czapla modro-biała

Gdzieś u brzegu pode trzeina
Wjazd zwycięzcy zwiastowała.

Smoki granic już nie strzegą,
On na zachód wciąż żegluje,
Do królestwa Megisagwan,
W ziemię króla Perłowego.
Już i księżyc się obniżył:
W równi stają i głęboko
Zmierzyli się oko w oko:
Twarz obudwu była blada,
Bardzo blada — aż z oddali
Już poranne słońce pali
W twarz i skronie Hiawaty.
Wyjrzał więc z łodzi brzożowój:
Hen daleko wigwam stoi
A w wigwanie Król Perłowy,
Pan na skarbach, na Wampumie.

Jeszcze raz łódkę pogania
Nie szczędzi rąk i wołania:
„Nuże śmiało, łódko moja.“
Aż jój poszło w każdą żyłę
I poczuła świeżą siłę,
Naraz w jednym dziarskim skoku
Przesadziła lilie wodne,

Trzciny zgniłe, muł, sitowie;
Na wybrzeże w bok potoku
Wysiadł rycerz suchą stopą.
Zaraz chwycił łuk z jesionu,
Jeden koniec utkwiał w ziemię,
W środek naparł ciała brzemię,
Grot nasadził z chalcedonu,
Silniej w łuku spiął cięciwę
W wigwam strzelił — bujna strzała,
Niby Herold poleciała,
Niosąc groźną wieść wyzewu:
„Wyjdź tu, wyjdź, królu Perłowy,
Hiawata już gotowy!
Idzie z świetnego wigwanu
Ciemny, rosły, silnych ramion,
Megisogwon, Czarnoksiężny
Z okiem pełnym groźby znamion,
Od stóp do głów w perłach cały
Cały zbrojny i orężny;
Ubarwiony w trzy kolory:
Porannego niebokręgu:
Modry, żółty, purpurowy;
A zapięte miał w kędziory
Orle pióra, co bujały

To od głowy, to do głowy:
„Znam ja ciebie Hiawato,
Ozwał mu się głosem gromu,
Shaugodaya, babi duchu,
A do niańki, precz do domu
Słyszysz, precz mi niewieściuchu.“
Lecz groźbą nieprzestraszony,
Hiawata mu odrzeczę:
„Przechwałka grot nieostrzony!
Słowo, nie miecz, więc nie siecze,
Krwawiej od nich prują strzały,
Czyn dzielniejszy niż wyrazy
Sroższy cios niż samochwały.“
Rzekł: śmiertelna walka wszczęta,
Jakićj, ni ptastwo drapieżne
Ni słońce nie zapamięta.
Przetrwała cały dzień lata
Bo od wshodu do zachodu!
Darmo miota Hiawata,
Wróg koszulę miał z Wampumu,
Minjekahwun nie pomogły
Czarodziejskie rękawice;
I maczuga nie nadała,
Choćby pod nią pękła skała;

Bo zadziergów nie rozcięła
W téj koszuli wampumowój.

Już na zmierzchu, Hiawata
Spoczął na swym łuku wsparty,
Zbił go trud, rozpacz i rany.
Patrzy — oręż w pół złamany
A naręcznik zmięty, zdarty,
Grotów tylko trzy zostało.
Spoczął na chwilę pod sosną,
Z której ramion igły rosna,
A w koło pnia stosy skóry
Z obuwia zabitych mężów,
Wśród żółtych i białych grzybów.
Słucha: a tam gdzieś z za drzewa
Mama — dzieciół tak mu śpiewa.
„Hiawato, kieruj strzały
Tak, by głowy mu dostały,
By zadarły czub na skroni,
I włos czarny z korzeniami
A wampum go nie obroni.“
Znów więc ostry grot skrzydlaty
Wypadł z łuku Hiawaty!
Pod tę chwilę, kiedy mocarz
Chylił się po głaz ogromny;

Tam, z kąd długi włos wyrasta,
Wdarła się strzała pierzasta.
Jak zóbr ciężko poraniony:
Wróg się chwieje, drży i pieni,
Śnieg stepowy krwią rumieni.
Rączej biegła druga strzała,
Pierwszej w locie dopędzała,
Głębiój wdarła się niż ona
Pierwszą ranę rozszarpała;
Pod olbrzymem drżą kolana
I chwieją się jak sitowie
Lub trzcina, wiatrem podwiana.
Jeszcze trzecia — już ostatnia
Najlotniejsza, najstraszniejsza.
Już skrawe oko Pauguka
Oko śmierci, nań spoziera
I przyzywa do ciemności. —
Oto u nóg bohatera
Martwy leży król perłowy
Czarnoksiężnik najmocniejszy.
Zaraz wdzięczny Hiawata,
Po gałązkach rzewnej sosny
Jął szukać drużby, dzięcioła
I do siebie go zawoła —

Schylił się, kroplę krwi bierze,
I na wieczną pamięć dzieła
Krwiań namaścił jego pierze,
Lube ptaszę, dzisiaj jeszcze
Między piórkami na głowie
Nosi znamię z karmazynu,
Wiekuiste godło czynu.
A z bark zabitego króla,
Zdarta perłowa koszula
Była nagrodą za męstwo
I wawrzynem za zwycięstwo.
Na brzeg stoczył jego ciało,
Pół na lądzie, pół pod wodą,
Lico w wodzie się nurzało
W piasku nogi zasychały,
A z obłoków orzeł skalny
Coraz bliżej nad padoleń
Coraz węższym krąży kołem,
Krąży, buja, wykrzykuje,
A Hiawata z wigwamu
Czarnoksiężny skarb dostaje:
Perły drogocenne, skóry,
Bobry, żubry, gronostaje,
Pasy, skrzynie, z pereł szury,

Uprząż cały srebrem dziany,
Łuki, strzały i kołczany.
Z łupem odpływa wesoly,
Znów po czarnych wodach smoły,
Znów po gadach w kręgi zwitych
Pieśni śpiewa, zdobycz dźwiga
W pamięć czynów znamienitych.
Nokomis nad brzegiem czeka
I Kwasind mąż pierwszej siły;
Czeka śpiewak Chibiabos,
Rychło błysnie łódź zdaleka.
A gdy uszu doleciała
Pieśń zwycięzka, to wieś cała
Śpiewem, tańcem gościa wita,
Ucztę sprawia, wykrzykuje:
„Chwalaż tobie mężu, chwala.“
Twoja strzała powaliła
Czarnoksiężcę; Króla pereł,
Co gorączkę w świat posyła,
Wyziewami śmierci wieje.“
A zwyciężką zawsze święci
W duszy pamięć na dzięcioła.
Więc na zakład téj pamięci,
On nagłówek lulki swojej

W purpurowe pierze stroi;
W krwawo-farbny czub dzięcioła,
A skarbem Megissogwona,
Czarnoksiężcy — niszczyciela,
Równy z ludem się podziela.



X.

DZIEWOSŁĘBY HIAWATY.



„Czem łukowi własna strona,
Tem mężowi własna żona:
Niby wiąże a związana,
Niby rządzi a poddana;
Jedno marne bez drugiego.“
Tak młodziuchny Hiawata,
Marzy, gwarzy sam ze sobą,
Mnogie myśli głowę trudzą:
Ciszy, smutku, wiary, strachu,
A i dumki, co ulata

Do kochanki niewidomój,
Gdzieś daleko w Dakotahu.
Lecz Nokomis mu powiada:
„Hiawato! moja rada,
Pojmij żonę z twego rodu,
Nie ze wschodu, nie z zachodu,
Tu nieznaną, niesłychaną!
Swojska żona, choć pokorna,
Ma blask ognia, ma blask słońca:
Obca, choćby najpiękniejsza,
Tylko gwiazdy — lub księżyc.”

Nokomisy taka rada;

Hiawata odpowiada:

„Prawda — piękny ognia promień,
Prawda — piękny słońca promień,
Lecz piękniejsza światłość gwiazdy,
Lecz piękniejszy blask księżyc.”

„Nie, staruszka mu odpowie,
Nie prowadź mi tu dziewicy,
Pustej, gnuśnej zalotnicy,
Stóp leniwych, rąk niezdarnych.
Ale taką, w której ręku
Równy z dłonią serce bije
Stopy, aż się rwą na gońca.”

„Posłuchaj-no, wnuk odrzecze;
Jest tam w ziemi Dakotahu
Siwy starzec, co na strzały
Aspisowe ostrza siecze.
Ten ma córkę: Minnehaha,
Ze wszech niewiast najśliczniejszą,
Czem chcesz, będzie — tobie gońcem,
Mnie księżycem, ogniem, gwiazdą,
Narodowi będzie słońcem.“

Babka jeszcze mu odraja:

„Ej, nie prowadź mi do chaty
Cudzoziemki z Dakotahów,
Bo to naród — dziki, krwawy,
Jeszcze może przyjdzie z wojną
I rozszarpie ręką zbrojną
Blizny na pół-przygojone.“

Uśmiechnął się zapłoniony.

„Temuż, mówi, babko miła,
Z Dakotahów chciałbym żony;
By po swarach, węzłem zgody
Skrewniły się dwa narody,
A blizna się zagoiła.“

Rzekł i ruszył na pielgrzymkę
Do ojczyzny Dakotahów,

Do ślicznych dziewic ojczyzny.
A miał w drodze, bagna, łąki,
Lasy, puszcze niezmierzone
I milczenie nieskończone.
Choć obuwia czarodziejskie
Jednym rzutem milę zbiega;
Wždy dla serca młodzieńczego
Coś przydługą droga zda się,
A serce stopę przegania.
Spiesz, spiesz bez ustania,
Aż z daleka, z głębi lasu
Usłyszał grom wodospadu.
„Gromie słodki, szepnął sobie,
Słyszę, słyszę, mnie ty wzywasz.“
Na saméj borów przedsieni
Między światłem a cieniami
Pasą się stada jeleni;
Ani spojrział Hiawata
„Baczność, łuku“ rzekł do łuku.
„Baczność, strzalo“ rzekł do strzały,
I w poselstwie ją posyła
Do drżącego serca łani —
Padła w serce — i zabiła.
Strzelec spiesz — bez przystanku.

Na przysionku od wigwamu
Siedział starzec strzało-dzieja,
W kraju plemion Dakotahu;
Robił ostrze strzał z jaspisu,
Robił ostrza z chalcedonu.
Tuż przy ojcu, śliczna, śliczna
Siedzi córka Minnehaha.
Siedzi córka źródło-śmiechu,
Z prętów głogu łąs upłata: —
Myśli ojca w przeszłość idą,
Myśli córki w przyszłość lecą.
Ojciec duma o dniach owych
Niepowrotnych, jak te strzały,
Łanię, żubra biły w kniei,
Na rozłogach — Muskodei;
Dzikię gęsi zabijały,
Jak leciały na południe
Skrzydły swemi głośnie Wawa;
Jak mężowie przyjeżdżali
I te strzały kupowali:
Walczyć bez nich nie umieli.
Już ich nie ma! jak bywali
Na téj ziemi męże śmieli;
Dziś kobietom równi męże,
Język mają za oręże.

Córka duma o myśliwym
Z obcej ziemi i plemienia:
Młodym, smętnym i rośliwym.
Co tu kiedyś rankiem wiosny
Przybył, kupić ojca strzały,
Długo, w chacie siedział z niemi,
Potém tęskny, tęskny jechał,
Wciąż oglądał się na chatę,
Odjeżdżając do swój ziemi.
Nieraz ojciec chwalił jego
Mężkie serce, mądrą głowę.
„Czy też kiedy przyjdzie jeszcze
Po te strzały; czy też kiedy
Zwiedzi chatkę Minnehay?“
I na matę położyła
Dłoń bezczynną, znów marzyła.
Wśród dumań słuchają, słyszą,
Szelest liści grał pod ciszą,
Aż tu z ogniem na spojrzeniu,
Z siercią zwierza na ramieniu,
Z głębi lasu, niespodziany
Hiawata ich nawiedza.
Wnet strzałodziej pochylony
Wpół skończony łuk odkłada

I pod strzechę gościa prosi,
A gdy prosi, tak przemawia,
Rad oczami, rad ustami:

„Witaj, witaj Hiawato!“

U stóp pięknej Minnehay
Gość, podróżny ciężar składa,
Zrzuca z ramion płaszcz jeleni;
A już dawno, gdy szedł z sieni,
Minnehaa siedząc zdala
Nad niedorobioną matą,
Spoglądała, pozdrawiała,
I oczami i ustami:

„Witaj, witaj, Hiawato!

Duży wigwam Indyanina
Z skór jelenich, w głębi biały
Malowany, a przy ścianach
Dakotahów bogi stały,
Drzwi wysokie miała chata,
Lecz gdy wchodził Hiawata
Ledwie zmieścił szczytną głowę,
I na głowie orle pióra.

Tedy wstając, Źródło-śmiechu,
Najpiękniejsza Minnehaa
Wpół zrobioną matę składa;

Stół zastawia bożym darem,
W czarach z gliny pokarm dała,
Wody z źródła zaczerpała,
Kubek z kory był pucharem. —
A i gościz słowa śledzi
I rodzica odpowiedzi,
Lecz ust swoich nie otwiera,
Razu słowa nie odrzekła,
Niby śpiąca — nadśłuchuje,
Jak rozprawia Hiawata:
To o babce, co w zaciszu
Tuliła go w ranne lata,
To o swoim towarzyszu,
Dzielnym grajku Chibiabos;
O Kwasyndzie arcymężnym,
O bujności i plenności
Ziemi szczęścia i pokoju,
Zacnej ziemi Dżypewejów,
Gdzie po krwawych latach boju,
Szczęku broni, krwi strumieniu,
Wreście pokój padł w plemienu
Dżypewejów i Dakotah.
I tak jeszcze mówił dalej:
Ale skromniej — nieprzytomniej:

„By już mogły być ostatnie
Boje plemion, wieczna cisza,
Nasze serca, wiecznie bratnie,
Nasze ręce zawsze spojne,
Niech twa córka moją będzie,
Minnehaha Woda-śmiechu,
Najpiękniejsza w Dakotahu.“
Dobrą chwilę był w milczeniu,
Nim odrzeknął, Strzałodzieja,
Dym wypuszczał z ust a milczał,
Dumnie spojrział na młodzieńca
Potém słodko na swe dziecię,
Wreście rzekł w statecznej mowie:
„Jój spytamy — co też powie,
„Minnehaha, co jój serce?“

Ach, ta miła! — gdy tam stała,
Jeszcze miłszą się zdawała,
Ni to skłania się, ni zbrania,
Wreście idzie do młodzieńca
Siadła przy nim i tak mówi:
(A splonęła od rumieńca)
„Mój małżonku, pójdę z tobą.“
Tak to kochał Hiawata;
Tak starego wyrobnika

Pojał córkę Minnehaha,
W Dakotahu — w obcej ziemi.
Tak pokochał i poślubił
W Dakotahu z dzikiej kniei,
Minnehagę, śliczne dziecię
Zgrzybiałego strzałodziei.
I wychodzi za podwoje,
Wodę-śmiechu wiódł ze sobą;
Ręka w rękę szli oboje
Gęstym lasem, potem łąką.
A w wigwamie u podwoi
Już samotny, ojciec stoi,
Idą — aż dalekim łanie
Wre kaskada — Minnehaha,
Wre i huczy i dziewczęciu
Śle ostatnie pożegnanie:
Bądź mi zdrowa Minnehaha!
Biedny starzec — wszedł do chatki
Jął się pracy — gdzie tam — w twarzy
Błady smutek. — W progu siada
I tak z sobą tęskno gwarzy:
„Tak to córki nas odchodzą
Kochające i kochane!
Ledwie wzrosły, by z podporą

Wieść pod rękę starość chorą.
Idzie obcy w pióra strojny,
Pocznie pieśni grać na trzcinnie
I po wiosce się rozgląda
Ujrzy piękną — tylko skinie
Już ta za nim, gdzie zażąda —
Wszystko rzuci — dla obcego.“

Idą — powrót był wesoły:
Idą na lasy głębokie,
Na doliny, wzgórze, góry,
Rzeki, pola i wądoły.
Skora droga dla młodziana,
Choć powolna, miarkowana,
Choć i baczył, by jej siły
Pośpiechem się nie strudziły.
Woda stóp jej nie porosi,
Gdy się rzeka nadarzyła,
On na rękach ją unosi:
A nie więcej mu ciężała,
Jak na włosach orle pióra.
Kolce targnąć jej nie śmiają,
Odginał je przed koleją.
Uwił namiot do noclegu
Łoże ściele z mchu i liści,

I nabity palnym głogiem
Stos zapala przed jój progiem.
Wszystkie wiatry wędrujące
Szły z niemi lasem, po łące.
Gdy zasnęli — to na czatach
Stoją wszystkie gwiazdy nocy,
I wywiórki sen nie zmroczy:
Ona z dębu na kochanków
Opiekuńcze zwraca oczy.
Kiedyż nawet królik biały
Nie dosiedział w ciepłej norze,
Przebiegnał im ścieszkę w borze
Wdzięcznie na łapkach przysiada,
I szczęśliwych oblubieńców
Opiekuńczo okiem bada.

Idą — powrót był wesoly
Bo i szczygły i dzięcioły
Wszystko śpiewa, wszystko śpiewa
O miłości, o weselu.
Szczygieł sobie: „Hiawato
Pięknaś, piękną, pojął żonę.“
Dzięcioł sobie „Minnehaho
Wzięłaś męża szlachetnego.“
A błogosławieństwem nieba

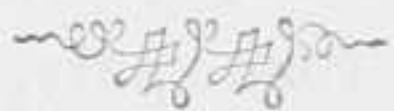
Przez gałęzie słońce świeci
Mówiąc do nich: „moje dzieci
Miłość jest to światło słońca,
Zawiść, jest to cień, a życie
To na przemian cień i słońce.
Hiawato, w ziemskim bycie
Ty władaj — tylko miłością.“
A nocą księżyc prześliczny
Rzucił w namiot blask magiczny,
Szepcząc do nich: „paro miła
Dzień — to walka, noc — to cisza,
Niewiasta — słabość, mąż — siła.
I ja mam połowę władzy
Choć ulegam — Minnehaho!
Władaj — tylko powolnością.“
Tak w pielgrzymkę, aż do końca
Z oblubieńcem szła dziewczyna,
Tak on wiedzie Nokomisie
Światło ognia, gwiazd, księżycy;
A ludowi światło słońca,
Minnehaę Wodę-śmiechu,
Pierwszą między niewiastami,
Najpiękniejszą w Dakotachu.



These subjects should be
 treated in the same manner
 as the other subjects of the
 course. The student should
 be able to understand the
 principles of the subject and
 apply them to the various
 cases which may arise. The
 student should also be able
 to explain the reasons for
 the various results which
 are obtained. The student
 should be able to give a
 full and complete answer
 to every question which
 is asked. The student
 should be able to give a
 full and complete answer
 to every question which
 is asked. The student
 should be able to give a
 full and complete answer
 to every question which
 is asked.

XI.

GODY WESELNE HIAWATY.



Posłuchajcież, moi mili,
Jak to wdzięczny Pau-Puk-keewis,
Jak prześliczny Yenadizze
Na ślubnych godach tańcował;
Jak tam śpiewał król gęślarzy,
Pieśń miłości i tęsknoty,
Chibiabos — białej twarzy
Pierwszy śpiewak, pierwszy grajek;
A miał głowę pełną bajek,

Rozповідаł swe przygody,
By weselój brzmiały gody,
Chwile rzeźwiój upływały
I na sercu raźniój było.
Suto babka stół zastawia,
Suto biesiadę wyprawia.
Każdy kubek bukszpanowy
Biały, gładko wytoczony;
Każda łyżka z rogu żubra
Czarna, gładko wytoczona.
Z rószczką wierzby po wsi całej
Poselstwa się rozbieżały,
Z rószczką — godłem zaproszenia
Na wesele Hiawaty.
Strojnie goście najeżdżają
A sadzili się na szaty.
Pas na każdym perłowy,
Drogocenne futra mieli
Różnej barwy — w włosach kity
Z piór perlami wysadzanych.
Naprzód dany jesiotr, Nahma,
Potém szczupak Maskenozha,
Co Nokomis połowiła,
Zgotowała go do stołu;

Potém pemikan jeleni,
Pemikan i szpik z bawołu.
Udziec sarni, grzbiet zubrowy,
Z kukuryzy żółte ciasta,
Dziki ryż, co z wód wyrasta.
Rad był družbom Hiawata
Lecz ani sam, ani żona,
Ni babka gościom życzliwa
Sutych potraw nie pożywa,
Tylko gościom usługują.

Gdy już wszystkim było syto,
Nokomis puszkę zastawia
Z jaszczurowej skóry szytą,
I w lulki z czerwonej gliny
Zamorski tytoń nakłada,
Miészany z korą wierzbową,
Liściem i wonnemi zioły.

„Teraz rzeczcie, Pau-Puk-Keewis
Puść się w taniec nasz wesoly—
Taniec-Dziadów, by nam w duchy
Przybrało krwi i otuchy,
Aby goście rozkosz mieli
Chwile biegły nam weselój.“
Nie trza więcej — Pau-Puk-Keewis

Yenadizze, ów nic potem
Trzpiot swawolny, bez litości,
Co go zwano wiercinogą,
Zajął środek w gronie gości.
W harcu nie było nad niego,
Czy do tańca kurpiowego
Czy na kręgle, czy na piłki;
I gracz z niego zawołany;
A znał wszystkie gry losowe:
Pugasaing na liczmany,
Kuntasseo grę na pestki.
Mniejsza o to, że wojacy
Zwą go tchórzem, Shaugodaya,
Że leniuchem, że kosterą
Bierz tam lichy — niech drwinami
Z czci i wiary go obierą,
Kiedy dziewy i niewiasty
Kochają Pau-Puk-Keewisa.
Koszulę miał z łaniiej skóry,
Białą, miękką, w perły dzianą,
Gronostajem naszywaną.
Miał pończochy z łaniiej skóry
Tkane jeżem, gronostajem,
Miał obuwie z łaniiej skóry,

Tkane jeżem i perlami
Wysadzane — a na głowie
Strojny łabędziemi pióry,
Za napiętkiem ogon lisi —
W prawej ręce śkli się lulka,
W lewej ręce wachlarz wisi.
Smugą żółtą i czerwoną,
Smugą modrą i szkarłatną
Błyszczała się twarz młodzieńca,
Włos jedwabiem spadał z czoła
Kędzierzawo, jak niewieści,
Staje między biesiadniki,
I wśród grzmotu kotłów, pieśni,
Wrzawy głosów i muzyki
Rozpoczął taniec mistyczny.
Naprzód taniec wolnej miary,
Wolny ruchem i postawą
To się puszczał za konary,
To znów wraca pod konary,
To na słońce, to do cieniu,
Wolnym stępem jak pantera —
Potém chyżej, co raz chyżej
Wiruje i kręgi kryśli,
Co raz szerzej, co raz wyżej,

Przez głowę gości przesadza,
Że aż liście z nim tańczyły
I podwiane wiatrem pyły,
Po wigwamie się kręciły.
Już za skąpo mu w wigwamie,
Rozwinął się wzdłuż jeziora
Jak szalony rwie się, łamie,
Wiatr przemienił w zawieruchę
Pod nim piasek w kłęb zwinięty
Ziegł w powietrze, a nad głową
Wił się dzikimi zakręty;
Aż ciężarem legł na brzegu,
Jak rozsiane płachty śniegu,
I usypał — na przymorzu
Góry piasku Nagow Wudjo.
Tak wesoly Pau-Puk-Keewis,
Gdy przetańczył taniec Dziada,
Wraca, śmiejąc się i siada
W kole gości na spoczynek,
A wachlarzem się ogania
Od długiego zmordowania.
„Teraz, rzekną w wspólnym głosie,
Ty gęślarzu nad gęślarze,
Ty śpiewaku nad śpiewaki,

Ty nasz sławny Chibiadosie!
Jeśli kochasz Hiawatę,
A zaśpiewaj-że, zaśpiewaj
Pieśń tęsknoty i miłości,
By pocieszyć serca gości,
By družbowie rozkosz mieli,
Chwile zbiegły nam weselój.“
Nie trza więcj — uproszony,
Wziął z pod serca rzewne tony,
Szły też w serce jego pieśni,
Pieśni, smutku i wesela,
A patrząc na przyjaciela
I prześliczną Minnehaę
Taką dumkę im zanucił:

„Onaway! o przebudź że się,
Przebudź moja ukochana,
Mój ty kwiatku kwitnący w lesie,
Przebudź moja ty ptaszyno!

* * *
Tylkom spojrział w te marzące
Oczy twoje — jam szczęśliwy,
Jak lilie, gdy się na łące
Łzami rosy napawają.

* * *

Tchnienie twoje — to poranna,
To wieczorna wonność kwiatów
Dzikorosłych wśród miesiąca,
Co z gałęzi liść otrąca.

* * *

Czyż nie zadrzał duch mój cały,
Kiedy oczy się spotkały;
Tak krynica drży ku słońcu
Na światło-nocnym miesiącu.

* * *

A komuż to serce śpiewa,
Gdyś ty blisko, jasnobrewa?
A tak śpiewa, jak szum liści
Na miesiącu poziomkowym.

* * *

Niech odejdzie — już nademną,
Już i w sercu jakoś ciemno,
Jak w téj rzece — co ciemnieje,
Gdy ją z chmury cień obwieje.

* * *

Niech-że spojrzy moja miła!
Już ci w sercu mrok olśniła,

Jak to słońce rzeczną pianę
Prądem wiatru potargane.

* * *
Jasno niebo się uśmiecha,
I przezrocza wód krynica....
A gdzie mi tam do uśmiechu!
Znikła ma oblubienica.

* * *
Śliczna moja! — iskro słońca!
Ty, w mém sercu, krwi bijąca,
Spójrzij na mnie, spójrzij na mnie,
A przebudź się Onawaj.“

* * *
Taką nucił pieśń dla gości,
Pieśń tęsknoty i miłości.
Sam Jagoo, bazarz głośmy,
Co staruszkę bardzo kochał,
Słuchał pieśni — i zazdrosny
Na oklaski i pochwały
Spojrzał w koło — a to oczy
Wszystkie na niego patrzyły.
Oczy proszą, usta proszą,
„A uracz że nas powieścią,
Posłuchamy cię z rozkoszą.“

A już to był samochwała,
Na ustach mu wciąż siedziało
Imię swoje — cudzych dziejów
Ani słucha — bo miał zawsze
Swoje dzieje i ciekawsze.

Nie w smak jemu cudza powieść,
Jego powieść — najpiękniejsza.
Tylko słyszeć, kiedy stary
Pocznie prawić — szkoda wiary:

„Nigdy pocisk myśliwcowi
Tak wysoko nie doleci,
Nikt ryb tyle nie nałowi,
Nikt sarn tyle nie położy
Tyle bobrów nie usidli,
Nikt nie sprosta mu w podróży,
Nikt się głębiej nie zanurzy.
Nikt w pływaniu nie nadąży
Nikt nie zejdzie tyle świata,
Tych się cudów nie napatrzy.
Nikt w powieści nie bogatszy
Jak Jagoo, bazarz stary.

Więc też weszło między ludem
Na przysłowie jego imię.

Niechno tylko jaki łowiec,
Przechwali się męztwa cudem,
Lub rycerz, przebywszy boje,
Zbyt ozłoci czyny swoje.
Zaraz krzykną: „a to pływa,
To Jagoo, to Jagoo.“

On to wystrugał przed laty
Kolebkę dla Hiawaty,
Wystrugał mu ją z lipiny,
Ściągnął żyłą renifera.

On pacholę uczył potém,
Jak się obejść z łukiem, z grotem,
Jak wystrugać łuk z jesionu
A jak strzałę z chalcedonu.

Teraz, na godach młodzieńca,
(A już mocno był sędziwy.)
W gronie gości starzec siada
Gotów prawie dziwne dziwy.

„Staruszeńku, mówią goście,
Opowiedz nam powieść jaką,
Dziworodne twe przygody;
A wnet żywiej pójdą gody,

Goście będą rozkosz mieli,
Chwile zbiegną nam weselej.“
Dość mu na tém — zaraz odrzekł:
„Posłuchajcież téj powieści
Dziwnéj, dziwnéj — cudotwornéj,
O czarnoksiężcy Osseo,
O synu gwiazdy wieczornéj.“



XIII.

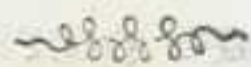
SYN GWIAZDY WIECZORNEJ.



Czyby słońce zachodziło
Na szklannęj płaszczyźnie wody?
Czy może łabędź czerwony
Płynie, lata, poraniony
Od zaczarowanej strzały?
Że aż wody zczerwieniały.
Szkarałatem krwi jego życia,
Na powietrze blask uderza
Od światłości jego pierza!

Tak, tak! to słońce zachodzi,
Wywraca się w głąb powodzi.

Cały nieba krąg w purpurze
I w purpurze stoją wody.
Nie — to czerwony łabędź płynie,
Płynie, nurza się w głębinie;
Ku chmurom skrzydła roztoczył,
Krwia żywota fale zboczył.
A nad nim gwiazda wieczoru
Drgając, topi się w czerwieni,
Zawieszona wszcz przestworu.
Nie — to perłowe paciorki
Na szatach Wielkiego Ducha,
Co w świętej ciszy pomroku
Przechadza się po obłoku;
Ledwie ojrzał się Jagoo,
Już ci woła: „czy widzicie
Owe drganie na błękiecie?
To święta gwiazda wieczorna;
Kto cudownych dziejów chciwy,
Opowiem mu wielkie dziwy,
I podanie o Usseo
O synu gwiazdy wieczornój.“



„W dawne, bardzo dawne lata
Bliziej od kolebki świata,

Niebo dotykało ziemi,
Bogi były nam krewnemi.
W kraju północy żył łowiec,
Przy nim córek dziesięcioro,
Jedna w drugą ślicznych, rosłych,
Jakby dziesięć wierzb wyniosłych.
Otóż najmłodsza, Owene,
Dziwnéj duszy a przekorna,
A milcząca a uporna
W rodzie była najpiękniejszą.
Te rycerzy poślubiły,
Chrobrych, dumnych wojowników;
Tylko najmłodsza Owenee
Wyszdyziła zalotników,
I poślubił ją Osseo:
Stary, biedny, dychawiczny,
Pod ciężarem lat złożony
A miał kaszel ustawiczny,
Czkawkę wieczną jak wiewiórka.

Ach! w téj potwornéj starości
Jak wielmożna dusza gości.
Ach! syn światła wieczornego,
Światła nocy, światła niewiast,
Światła marzeń i miłości;

Całą jego piękność w duszy,
Jego ogień miał w swém łonie,
Jego siłę w serca biciu,
Jego tajemnicę w życiu,
Jego światłość w swoim słowie,
A Owenę miłośnicy
W pasy z pereł opasani,
W drogie pióra i kolory
Młode dziewczę — na ulicy
Wytykali, obśmiewali.
A ta rzecze: „czyż ja stoję
O wasze tam perły stroje,
Drogie pióra i kolory?
O! naśmiejcie się do woli
Z mym Osseo ja szczęśliwa!“
Raz na ucztę całe grono
W mglisty wieczór zaproszono;
Więc sióstr dziesięć chyżo biegły
Z małżonkami na biesiadę,
A za niemi w wolnym kroku
Starzec z Oweną przy boku.
Owi gwarno wciąż szczebioczą,
Ci w milczeniu wolno kroczą.
A staruszek to przystanie,

To na zachód patrzy w niebo;
Jakby wzywał ku pomocy
Drżące światło wieczorowe,
Światło niewiast, światło nocy.
Bo i szepce coś tajemno.
„Ach, Showain nemeshin, Noza!“
(Ojczy, zlituj się nademną.)
„O! słyszycie, starszy rzeczce,
On się modli do Rodzica!
Co za szkoda, że wśród drogi
Nie potknie się starowina
Nie wykręci suchej nogi.“
I w śmiech razem — aż po lesie
Echo grzeszny śmiech rozniesie.
Na raz patrzą — w ciasnym wnijściu
Legł poprzecznie pień dębowy,
Nawalnicą powalony,
Zagrzebiony w mchu i liściu
Kruchy, próżny a zbutwiały.
Ledwie starzec go zobaczy,
Zerwał się z krzykiem rozpaczy,
I wsunął się w jamę dębu,
Stary, brzydki, dychawiczny.
Aż niebawem drugą stroną,

Wybrnął z jamy młodzian śliczny,
Rosły, silny i postawny.“
„Tak przetworzył się Osseo,
Starość młodością zakwitła!
Cóż kiedy i wierna żona
Dziwnym cudem przetworzona.
Biada tobie, starcze, biada
Tobie wiernój białogłowie,
Oto w zmarszczkach, zwiędła, blada
Babka wlecze się o kiju;
Na to siostry i mężowie
W śmiech bezbożni! aż po lesie
Grzeszne echo śmiech rozniesie.
Nie odwrócił się Osseo
Tylko wolniej szedł przy żonie,
Wiódł pod rękę zwiędłą, suchą
Jak liść dębu w zimę głuchą.
Zwie kochanką (Nenemosha),
Pieszczotami obsypuje;
Ot i doszli do zagrody,
Gdzie czekają święte gody,
Na cześć światła wieczornego,
Światła niewiast i miłości.
Tonąc w widzeniach i we śnie

Osseo duma boleśnie,
Okrom niego całe grono
I bawi się i weseli.
Ni mu napoje ni jadło,
Nic do duszy nie przypadło,
Ani mówi, ani słucha,
Dziko patrzy i w widzeniach
Zatopił oko i ducha.
Patrzy w kolój to na żonę,
To na gwiazdy wyiskrzzone.
I słyszy jakby szeptanie
Gdzieś w oddali nieruchoméj,
Na bezmiar oceanie
Głos cichy, rzewny, pieszczony.
Głos ten mówi: „ach Osseo,
Mój ty synu ukochany!
Oto spadły już kajdany,
Spadły z ciebie wszystkie czary,
Wszystkie siły czarnoksiężtwa.
Pójdź do ojca, pójdź Osseo,
A pożywaj, bo te dary
Błogosławionc, zaklęte
Tajemniczą siłę mają
Ja w ducha cię przeobrażę,

Twoje czarki i puchary
Już nie będą drzewem, ziemią:
Czarki w perły się przemienią
A puchary będą srebrne;
I ogniem się rozpromienią,
Iście koncha szkarłatowa.
I niewiasty już przestaną
W jarzmie trudów nękać siły:
W ptaki zmieniają się i będą
Jasnościami gwiazd świeciły,
Strojne barwą przygaszoną
Chmur i nieba zachodniego.“
Co dla niego szeptem było,
I wyraźnym słów odzewem,
To gościom tylko muzyką
I odległym ptasząt śpiewem;
Niewidomój sowy jękiem,
I w bezludnym boru dźwiękiem
Samotnego Wawonaissa.
Naraz chata im zadrżała,
Wstrzęsła się i rwać poczyna,
Z posad swych wstaje z łoskotem,
Zwolna w powietrze się wspina;
Z pod zasłony gałęzistój

Leci pod namiot gwiazdzisty.
Oto miasto naczyń z drzewa,
Szkarłatowe muszle stoją,
A miasto glinianej czary
Srebrne świecą się puchary,
A na strzesze krokwie chaty
Łyszczą się, jak różeczki srebrne,
Po nad niemi dach brzozowy
Zdaje się duchem w promieniach.
Młodzian w okół się rozgląda:
Oto łowca śliczne córy
Przemieniły się z mężami
W poczet ptasząt różnopióry,
To na kanie, to na zięby,
To na kosi, na jastrzęby,
Kraczą, śpiewają, szczebioczą,
Biją, skrzydłami trzepioczą;
To znów w nadętej postawie,
Wspięły ogon, istne pawie, —
Tylko Owene najmłodsza,
Niezmieniona w kątku siedzi;
Stara, zwiędła, w marszczkach cała
Nad niedolą sióstr się biedzi,
Więc Osseo spojrział w górę

I znów, głosem rozpaczliwym
Zawołał, jak w chwilę ową
Gdy się w jamę krył dębową,
I wróciła piękność żony:
Strój podarty, oszpecony
Przemienił się w gronostaje,
Kij starości, w srebrne pióro;
A tak! w drogocenne pióro. —
Alić chata znów zadrżała
I pędzi w powietrzne prądy,
Przez obłoków szklanne lądy.
Tam w gronie światel niebieskich
Na Wieczorną Gwiazdę spada,
Jak na rzece listek suchy,
Jak powiane ostu puchy,
Jak na szronie szron osiada,
Z uroczystém pozdrowieniem
Wchodzi ojciec — włosy jego
Srebrnym wiją się pierścieniem,
A oblicza miał pogodne.
„Mój, Osseo, rzekł do syna,
Weź tę klatkę z różeczek srebrnych,
I te ptaszki różnowzore,
Niech zawisnie ród skrzydlaty
Tu na odrzwiu mojej chaty.“

Syn na odrzwiu klatkę wiesz, a
A ród ptasi z wesołością
Do srebrnej klatki pospiesza.
Synu, rzekł ojciec Ossea,
Władca światła wieczornego,
„Ja nad tobą dzieckiem miłym
Miłosierdzie uczyniłem,
Wróciłem młodość i wdzięki
A z mężami siostry twoje
Przeoblokłem w ptasie stroje;
Bo urągali nad tobą;
Bo na smutnej starca skroni
Znaczonej wiekiem, chorobą,
Nie poznali duszy dzielnej,
I młodości nieśmiertelnej.
Jedna tylko nagie serce
Poznała i ukochała.
Hen! w owym srebrnym namiocie,
W małej gwiazdce, co tam płonie,
Przeze mgły, po lewej stronie
Czarnoksiężnik ma stolicę,
Wabeno (Zły duch zawiści).
„Synu! oby na twe lice,
Te zaczarowane strzały,

Te promienie nie dostały,
On to ciebie w starca zmienił.“



Długo, długo w ciszy wiecznej,
Na ojca gwiazdzie słonecznej,
Syn szczęśliwy żył z rodzicem;
Długo, długo zawieszona
W odrzwiu srebrna klatka świeci,
W klatce świergoczą ptaszęta.
A Owenee, stała w wierze
Synaczka mu porodziła,
Co miał piękność z rodzicielki,
Co miał z ojca umysł wielki.
Bośnie chłopię i dojrzewa;
Jemu ojciec dla igraszki
Łuki robi, strzałę żłobi,
Z klatki srebrnej wszystkie ptaszki,
Wszystkie ciotki i wujaszki
W świat wypuszcza, aby dziecko
Miało zabawkę łowiecką.
Jak się ptastwo nie rozgości
W próżniach światła, nie zanuci
O radości, o wolności;
Jak wirując nie pomnoży,

Skrzydeł blaskiem, blasku zorzy!
Aż chłopiątko, łowiec mały,
Napiął łuk, nasadził strzały,
Rzucił pocisk niepohybny.
U nóg jego szkląco pióro
Legło ptaszę ugodzone.
Lecz — o! dziwy, to nie ptaszek,
To młoda, śliczna kobieta,
U nóg leży, w środek łona
Ciężko strzałą ugodzona.
Ledwie krew z piersi kobiety,
Dotknęła świętej planety,
Świętej gwiazdy wieczorowej,
Już omdlewa czarów siła,
Pryśły magiczne okowy,
I łowiec śmiały poczuwa,
Że pod nim niebokrąg cały
Ugina się i obsuwa,
Że na rękach niewidomych,
Unoszony wciąż zapada
I lgnie wskrós głębi ruchomych,
Przez obłoki, przez tumany.
Aż nastąpił gdzieś na wysep
Bujną trawą wyścielany,

Tam w pośrodku Wielkiej-Wody;
A tuż za nim na zieleni,
Wszystkie ptaki lśniaco-pióre
Skrzydły świecą, na dół lecą,
Jako liście na jesieni.
Tuż i chata z dachem srebrnym,
Jak świecące chrząszcza skrzydło,
Pędzone wiatrem podniebnym,
Zwolna osiada na wyspie,
W niej Osseo i ta miła,
Co mu wiary nie zdradziła.
Tedy ptasząt rzesza cała,
Ludzką postać odzyskała.
Postać — ale nie postawę,
Bo została Ludem-Karłów,
Niedorostków „Puk-Wudjes,”
Co splecione ręką w rękę,
Podczas lata w nocnej porze,
Gdy zejda wieczorne zorze,
Wiodą społem korowody
Na stromiej skale przylądka,
Na płaskiej piasku równinie.
Dzisiaj jeszcze w nocnej ciszy
Widać chatkę ich świecącą

Nieraz z brzegu rybak słyszy,
Krzyk wesoły, taniec hoży,
Przy świetle wieczornój zorzy.“



Kończąc powieść, ułożoną
Z samych cudów, Jagoo
Zmierzył okiem całe grono,
I tak wyrzekł uroczyście:
„Są mężowie, sam ich znałem,
Są wielcy mężowie w tłumie,
Lecz ich gawieź nie zrozumie,
Co ja mówię? — znienawidzi!
Ozienie wzgardą, wyszydzi!
Więc kto wzgardą natchnął serce,
Niech go powieść ta nauczy,
Jaki los czeka szydercę.“
Wielką radość goście mieli,
Więc starcowi przykląsnęli.
Powieść była wyśmienita;
Lecz gdy koniec usłyszeli,
Każdy dziwi się i pyta,
„Czyby mówił to o sobie,
Czyby mienił nas ptaszkami,
Ciotkami i wujaszkami?“

Znowu śpiewał Chibiabos
O kochaniu, o tęsknocie,
W jego pieśni pełno było
Dźwięku dumki i słodczy.
Bo w niej śpiewał żal dziewiczy,
Żal kochanki po młodzieńcu
Algonkinie oblubieńcu.

„Kiedy o nim wspomnę sobie,
Doloż moja! wspomnę sobie;
Kiedy to serce wspomina
Kochaneczka Algonkina,

Doloż moja! na odjeździe,
On mi perły wdział na szyję,
Perły, blaskiem równe gwiazdzie,
W upominku — mój Algonkin.

Żegnając mię łzy rzewnemi,
Pójdę, mówił, pójdę z tobą!
Powędruję do twój ziemi
Oblubieńcze mój — Algonkin!
Ach! daleko, jam odrzekła,
A bolesna łza mi płynie,
Ach daleko moja ziemia
Sercu luby — Algonkinie.

Gdym się jadąc obejrzała,
Bom go jeszcze ujrzyć chciała,
A on jeszcze patrzy za mną;
Mój kochany, mój Algonkin,
Stał wsparty o pień dębowy
Co zwalony nawałnicą,
Ugrzązł w wodzie do połowy.
Ach! kochanek mój Algonkin!
Kiedy o nim wspomnę sobie,
Doloż moja! wspomnę sobie,
Kiedy to serce wspomina
Kochaneczka Algonkina!“

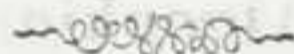


Takie były ślubne gody,
Takie płąsy, chorowody,
Takie powieści Jagoa,
Takie śpiewy Chibiabosa,
Aż i godom przyszedł koniec.
I znów cicho stała chata,
Tylko został Hiawata
I prześliczna cudzoziemka.



XIII.

BŁOGOSŁAWIENSTWO NAD POLAMI.



Śpiewajcież mi, moje piosnki,
Jak szczęśliwie, jak bez troski
Młodociane przeżył lata
W ziemi swojej Hiawata,
W cichéj ziemi Odzybwejów.
I o cudach Mondamina
I łanów błogosławieństwie!
Oto w twarde ziemi łono
Krwawy topór pogrzebiono,
Oręż, zbroja w proch zapadła,

Hasło boju oniemiało,
Po nad ludem cisza siadła.
Łowiec brnie po puszczech śmiało,
Śmiało wiąże prom brzozowy
W rzekę zapuszcza niewody,
Na zubra rozciąga łowy.
Białogłowa nie lękliwa
Sączy cukry z włókien klonu;
Dzikim ryżem łąn obsiewa
I bobrowe futra szyje:
Wokół wioski, szkląc zielono,
Faluje las kukuryzy
I słoneczny włos rozpina,
Włos jedwabny Mondamina,
Plennością napelnia ziemię.
A niewiasty, co tu wiosną
Na zyznej łąnów przestrzeni
Pogrzebały Mondamina,
Dziś, gdy wyrósł na jesieni,
Zdejmują mu letnie szaty;
Z żółtej łuski obłuskują
Jak był nakaz Hiawaty.
Raz, gdy zasiew był skończony,
Mądry, baczny Hiawata,

Tak odezwał się do żony,
Do prześlicznój Minnehahy:
„Moja luba, masz téj nocy
Siewom dać błogosławieństwa,
Obwieść kołem czarnoksiężtwa,
By od śnieci je zasłonić,
Od owadu plon ochronić
Od Wagemi, co kłos kradnie.
Nocą, kiedy mrok zapadnie,
I rozsiędzie się milczenie,
A Nepamin — duch senności,
W chatach pozamyka sienie,
Kiedy ucho nie dosłyszcy,
Kiedy oko nie zobaczy,
Tedy z łoża powstań ciszy,
Szaty w chacie niech zostaną,
Obejdź w koło nocną rolę
Ziarnem ryżu nadziewaną.
A weź za całe ubiory
Płaszcz nocy, włosów kędziory:
Zaraz nam siejba wesołem
Życiem zejdzie, bo ty kołem
Czarodziejskiem ją obwiedziesz.
A tak ni śnieć, ni zaraza,

Ni robak, co ziemię toczy,
Za krąg czarów nie przekroczy,
Ani jętka nie przekroczy,
Ani pajak Subbekashe,
Ani liszka Way-muk-kwana.
Co wpośród liszek rej wie dzie,
Odziana w futro niedźwiedzie!“

Po szczytach sosen nad miedzą
Głodne wrony, kruki siedzą,
Kahgadgee kruk nad krukami
Z poczem swoim zbojców czarnych
Z Hiawaty się wyśmiewa,
Ze słów jego i przestrogi.
Aż od śmiechu straszliwego
Chwieją się sklepienia drzewa:
„Patrzcie — mówi, to mi czary,
To mi mędrek dużej miary.“

Gdy spadły milczące mroki,
I mgły czarne las obwiodły,
Gdy odludek Wawonaissa
Zagrzmiał tęskno z białej jodły
I Nephamin, duch senności
Pozamykał wszystkie chaty,
Minnehaha z łoża wstaje,

Zostawiła swoje szaty,
Tylko nocą przyodziana
Niewidzialna, więc bez sromu
Biegnie w łany pokryjomu.
A jój stopy górą, dołem
Określiły w okrąg pola
Świętem czarodziejskiem kołem.
Sama tylko północ mogła
Dojrzeć jój wdzięki w ciemności
Tylko ucho ślepowrona
Słyszało bicie jój łona;
Bo pomroka — Guskewau,
Świętym płaszczem ją oblekła,
By żadna ludzka źrenica
Jój piękności nie urzekła,
Więc nazajutrz, gdy zadniało,
Kahkadgee kruk nad krukami
Zwołał czarnych zgraję całą:
Kruki, wrony, sójki, kanie,
Co krakały w mroku liści,
I rozpuścił je po łanie,
Rozpuścił je na rabunek
Na mogile Mondamina.
„Wygrzebiem go, rzekły sobie,

Na co ma leżeć w tym grobie.
Tu ni magia nie podola,
Ani czarnoksiężkie koła,
Nam na przekór nakreślone,
Świątą stopą Minnehahy.“
Ale ucho Hiawaty
Zawsze baczne i przezorne,
Posłyszało te przekorne
Urąganie i szyderstwo,
„Kaw“ zawoła mości kruki!
I ty królu ich Kahkadgee.“
Muszę zadać wam nauki,
Byście jój nie zapomnieli!
Więc wstał przede wschodem słońca
I rozciągnął wszere i podłuż
Sieci od końca do końca,
Na czarne stado łupieżców:
Sam zasadził się na czaty
W gęstym lesie okolicznym,
I podzierał rój skrzydlaty
Wron i kruków, kań i sójek;
Wnet nadbiegły rojem dzikiem,
Z biciem skrzydeł, gwarem, krzykiem,
By spełnić dzieło-zniszczenia.

A dalejże dziobem, szponą
Kopać ziemię, pruć jój łono,
By odkopać Mondamina.
I zmysł wszystek, wszystka siła,
Na ten rozum nie starczyła,
By dopatrzeć się zasadzki.
Aż tu naraz, dziób i szpona
Opętana, osidlona.
I zapadło się więzienie.
W tém z kryjówki sam wypada
A tak groźnie sprojrzał po nich,
Że gdy zdala go postrzegą,
Dreszcze przeszły najśmielszego.
Darmo — nie ma przebaczenia:
W prawo, w lewo, w pień wycięte,
A trupy na drąg zatknięte,
Wiszą ptakom na postrachy
Wokół poświęconej roli,
Jako wawrzyn i przestroga
Na groźbę gościom złej woli.
Tylko jeden z nich Kahkadgee,
Księżę kruków uszedł śmierci,
Jako zakład spokojności
Od narodu czarnych gości.

Hiawata spętanego
Więżnia do chaty wprowadził.
Spiąwszy go sznurem brzostowym,
Na grzbiecie dachu obsadził.
„Mój Kahkadgee, rzekł zwycięzca,
Ty dowodzisz zbójców zgrają,
Z ciebie wszystkie krzywdy, zdrady,
Z ciebie zbrodnie i napady,
Siedźże, Wasza Krucza Mości,
Jako zakład uległości
Od kruczego pokolenia!“
Tam na wierzchołku wigwamu
Wtrącony w ciężką niewolą
Od świtania więzień siedzi,
Bije skrzydłem, rwie się, biedzi,
Kracząc nad sromotną dolą.
Darmo kracze, rwie się, biedzi,
Powołuje do narodu
Od świtania do zachodu.

Zeszło lato, Shawandasee
Wionął na świat od południa
I piersiami gorącemi
Całuje oblicza ziemi.
A w polu kwitnie, dojrzewa

Kukuruza urodziwa,
Aż stanęła w całej chwale,
Rosła, żółta i zielona;
W pióra, w kiście obwieszona:
A jej ziarna pełne, szkliste
Świecą z pochwy pękającej. —
Tedy Nokomis sędziwa
Tak do wnuka się odzywa:
„Oto idzie do miesiąca,
Co na drzewach liść otrąca.
Już i dziki ryż zebrany;
Żółtym lasem kukuruzy
Już falują nasze łany!
Póki lata, póki liści
Czas wszcząć walkę z Mondaminem,
Oskubać go z piór i kiści
Z żółto-zielonych sukienek.
A więc hoża Minnehaha,
Rączo z wigwamu wybiegła;
Za nią babka i niewiasty,
Cała wioska łan zaległa.
I młodzieńcy i dziewczęta
Het na żniwa rzeźwą tłuszcza —
Tną łodygi, ziarna łuszcza.

Na skrajach lasów i błoni,
Kolem zapaliwszy lulki,
W cieniu drzew żywicznej woni
Starcy siedzą i wojacy,
Siedzą milcząc i patrzą
Jak się młodzież jęła pracy,
Niby igraszki swawolnej:
I słuchają gwarną mowę
Pustych śmiechów, pioski polnej;
Bo gwarzyli — istne sroki,
Bo się śmiali, istne sójki,
Bo śpiewali, istne szczygły.
Ile razy której z dziewcząt
Czerwone ziarnko się nada,
„Masz go“ krzyknie jej gromada,
„Masz go“ śliczny mąż twój będzie.
„Tak“ starcy jej odpowiedzą,
Co pod cieniem sosny siedzą.
Ile razy wśród łuskania,
Młodzieńcowi lub dziewczynie,
Chude ziarnko, w kabłąk zgięte,
Czy spróchniałe się nawinie,
W śmiech, kto żyje, całą zgrają,
Zbiegają się i śpiewają,

Więc leniwym starców chodem,
Kulejąc, niby na szczudłach
Łan obchodzą korowodem,
Starca-męża przedrzeźniają:
W chór i luzem młodzież hoża
Wyśpiewuje: „zasia, zasia!
To Wagemin (złodziej zboża).“
Aż rozległo się po łanie,
I z wigwanu Hiawaty,
Słysząc jęk i narzekanie:
A to Kakadgee, król królów
Jęknął na swą ciężką dolę,
I na szczycie leśnych buków
Wrzasło czarnych zbójców stado,
„Tak“ staruszki odpowiedzą,
Co pod cieniem sosen siedzą.



XIV.

PISMO OBRAZOWE.



Onych dni rzekł Hiawata:

„Oto z pamięci człowieczej
Marnie giną dzieje świata,
I wspomnienia ziemskich rzeczy. —
Giną na czasy potomne
Wielkie dzieła wojowników,
I podania wiekopomne
O sławnych łowców zwycięztwie,
O głębokiej Medas wiedzy,
O Wabenos czarnoksięztwie,

Wszystkie wróżby i widzeniu
Jossakeeds — proroków ziemi
Do późnego pokolenia.
Wielcy ludzie w grób zamknięci
Zasypiają w niepamięci.
Mędrycy mówią: lecz ich słowa
Ucho ludów nie przechowa,
Nie powtórzy potomności,
Co kędyś tam, niezrodzona,
Czeka w wielkim, tajemniczym
Mroku niemych dni przyszłości.
Na ojców naszych mogile
Nie ma znaku ni postaci:
„Któż tam leży“ — spytaj braci
Ach! nie wiemy, wiemy tyle,
Że nam byli praojcami.
A ich ród? a jakim godłem
Ongi znaczyli się sami,
Bobrem, żubrem, może osłem?
Ach! nie wiemy, — tyle wiemy,
Że nam byli praojcami.
Łatwo gwarzyć oko w oko,
Lecz odkryć serce z oddali,
Lecz roztworzyć myśl głęboko
Braciom, co nas odjechali!

Więc tajemne słać poselstwo?
Ależ poseł, gdy wybada
Tajemnicę, czyż nie zdradzi,
Przed narodem nie wygada.“

Tak, blakając się po lesie,
W troski, w dumy się zacieka,
I rozważa w samotności,
Jak uzacnić ród człowieka.

Tu z zanadrza wyjął farby,
A co farba, to odmiana;
I na brzozy gładką korę
Kładzie kształty różnowzore
I postaci tajemnicze,
A co postać, to odmiana,
Pod każdą myśl pochowana.

Gitche Manito potężny
Pan żywota, stał w obrazie
Jako owal ostrokreśny,
Z czterech krańców wskazujący,
Cztery wiatry niebokreśny.
A w tém leżał symbol szczytny,
„Że Duch Wielki jest wszechbytny.“

Mitche Manito potężny,
On duch złego, stał w obrazie

W kształcie żmii Kenabeek,
„Duch złego jest czarnoksiężny,
Chytry, miłośkiem pełzający.“
Taka była treść Symbolu.

Za duchami szły dwa kręgi,
Śmierć i żywot wyrażały,
Śmierć, krąg czarny — życie, biały.
Potém księżyc, gwiazdy, słońce,
Potém ludzie i potwory,
Ryby, gady pełzające;
Rzeki, góry, morza, bory.

Ziemia w kształcie prostej kreski,
Nad nią łukiem świat niebieski,
W środku, na dnie przestwór biały,
W nim nocne gwiazdy pływały,
W lewo cętka na wschód słońca,
W prawo plamka dla zachodu,
Górą plamka dla południa;
Z niej kręczone płyną sznury
Na deszcz i nawalne chmury.

Daléj idą ludzkie ślady,
A ku chacie obrócone,
Znać sproszeni w jedną stronę,
Idą na ucztę sąsiady.

Krwawa dłoń wzniesiona w górę
Była symbolem zniszczenia.

A co kreślił, to ludowi
Wraz pokaże i wysłowi
I tak tłómaczy postacie:
„Oto ojców waszych szczątki!
Ni tam znaku, ni pamiątki
Żadnej — oto farby macie.
Kładźcież tedy na ich grobie
Każdy godło rodu swego,
Niechaj przyszłe pokolenia,
Gdy praojców ślad postrzegą,
Rozeznają i zapłaczą.“

Więc poczęli na mogiły,
Co jeszcze w pamięci żyły,
Kłaść pamiątki swego rodu,
Godła domu i znamiona,
Bobry, reny, żubry, pawie,
Synogarlice, żurawie;
Każdy głową wywrócony,
Na znak, że głowie rodziny,
Co tém godłem się znaczyła,
Dziedzictwem proch i mogiła.

A Jossakeeds — prorokowie,

Wabenos — czarnoksiężnicy,
Medas — co wracają zdrowie,
W korze, na skórach jelenia,
Malowali swoje pienia.

A co pienie, to znak nowy,
Uroczysty, zagadkowy,
Dziwny i gorącej barwy.

A z pod każdego symbolu
Pieśń magiczna wyzierała.

Tu sam Wielki Duch Stworzyciel,
Zlany błyskawic promieniem,
Kenabeek Wielka-Żmija
Z krwawym, sterczącym grzebieniem
Patrzy w niebo przyczajona;
Słońce wieczne, czuwające,
Księżyc, co w zaćmieniu kona,
Tu mewa, ptak czarnoksiężstwa
Sowa, orzeł, żóraw, sokół,
Tu poczet bezgłowych mężów,
Ciśnie się w niebo naokół,
Ciała przebite strzałami,
Owdzie krwawa, wyciągniona
Ręka śmierci — tam wojownik,
Sili się, by w swe ramiona,
Przygarnąć niebo i ziemię.

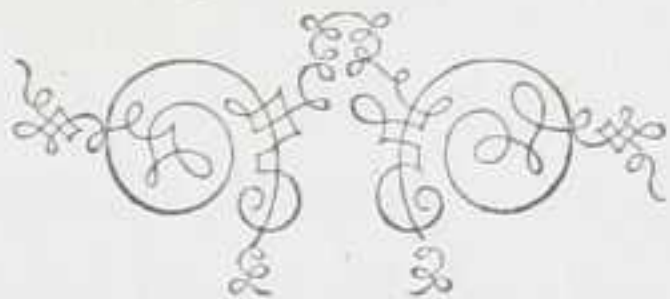
Takiem zdobią malowidłem
Drzewo i skórę jelenia,
A znak każdy krył myśl swoją,
Łowcze, bohaterskie pienia,
Pienia magii i leczenia,
Wszystko, wszystko w mowie kształtów;
Bo co postać, to odmiana,
A w każdej myśl pogrzebana.

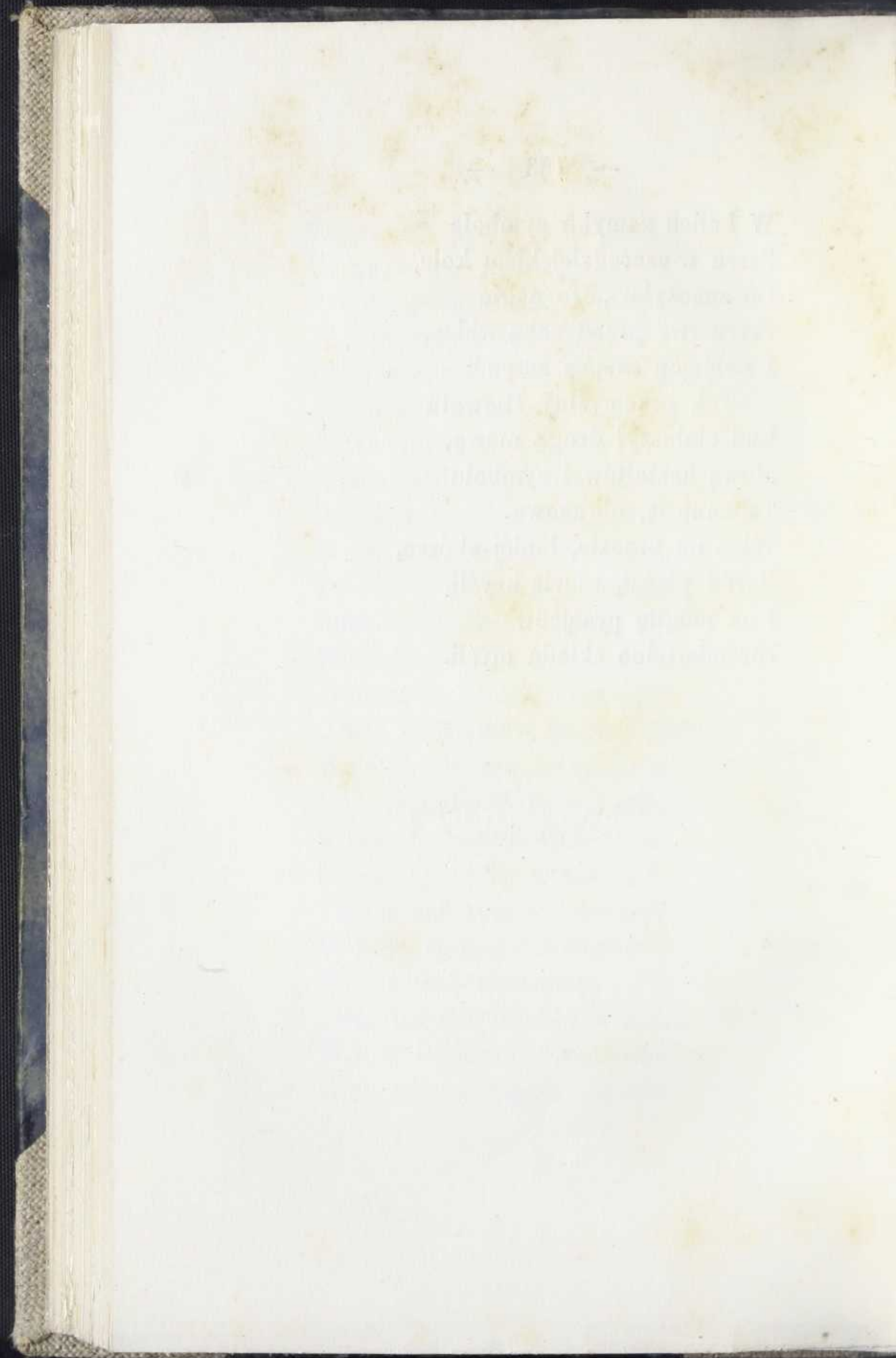
Miała tam swą pieśń i miłość
Śliczniejsza nad wszystkie cuda,
Wszystkie mocy czarnoksiężtwa,
Straszniejsza nad grom zwycięstwa
I huk łowu — a téj pieśni
Taka była myśl i godła:
Na czele stoi młodzieniec
W jasny szkarłat malowany,
To jest muzyk — oblubieniec,
Co znaczyło: „moje farby
Moc mi dają nad innymi.“
Dalej siada gra i śpiewa
Przy czarodziejskim tympanie,
Co znaczyło: „słuchaj, słuchaj,
To gra moja i śpiewanie.“
Dalej ten młodzian w szkarłacie

Zasiadł na progu przy chacie,
Co znaczyło: „domu twego
Przejdę próg, usiedę z tobą
W tajemnicy serca mego.“
Dalej w parze stał mąż z żoną,
Z dłonią w dłoni przyciśnioną,
A tak silnie, że się obie
Dłonie jedną dłonią zdały,
Co znaczyło: „moja droga!
Ja twe serce widzę w tobie,
Ty rumieniec masz na twarzy.“
Dalej widać wyspę małą,
W środku wyspy dziewczę stało,
A obraz tę piosnkę znaczy:
„Choć w dalekie pójdziesz strony,
W środku wyspy opuszczonój,
Mam ja czary, mam na ciebie —
Zaczaruję — w moc zaklęcia
Musisz zlecić mi w objęcia.“
Tam widać spiącą dziewczę,
W ucho spiącej oblubieniec
Szepce taką tajemnicę:
„Byś też skryła się i w niebie
W królestwie snu i milczenia,
Głos miłości dojdzie cietie.“

W końcu zamyka symbole
Serce w czarodziejskiem kole,
Co znaczyło: „oto nagie
Serce twe przed sobą widzę,
I twojemu szepcę sercu.“

Tak przemyślny Hiawata
Lud obdarzył drugą mową,
Mową kształtów i symbolu
Tajemniczą, obrazową.
Więc na brzozie, łaniój skórze,
Naród pieśni, czucia kryśli,
I na mogiłę praojców
Nieśmiertelne składa myśli.





XV.

PLĄCZ HIAWATY.



Onego dnia źli duchowie,
Co czarną dolę przynoszą,
Nie pozierali z rozkoszą
Na tę mądrość Hiawaty,
Na tę miłość Chibiabosa. —
Stała wiara, moc przyjaźni,
Dzielność w czynach, siła w słowie,
Nienawistne duchy drażni.
I sprzysięgli się wrogowie,
By roztargać więzy święte.

Nieraz dawał mu przestrogi
Mądry, czujny Hiawata:
„Mój śpiewaku, mój ty drogi
Nie odstępuj ty odemnie,
Zły duch zgubi cię tajemnie.“
Płochy, młody, istne dziecię,
Uśmiechnął się Chibiabos,
Tylko czarne wstrząsł kędziory;
Gdzie tam — gdzie tam, jak to w świecie,
Zkąd tu rozum na przezory?
Trzęsąc czarnemi kędziory,
Rzekł z uśmiechem — istne dziecię:
„Bracie, bądź dobrej otuchy,
Nie trafią do mnie złe duchy.“

Raz, gdy zimą szklanne bryły,
Dachem lodu morze skryły,
Śnieg skrecony w białe płaty,
Szumiał po dębowych liściach,
I sosny zmieniając w chaty,
Wielką ciszą nakrył ziemię,
Nieposłuszny bratniej radzie,
Chibiabos strzały bierze,
Zimowe obuwia kładzie,
Wrogich duchów się nie strzeże

I sam jeden w las wędruje
Na jelenia rogatego.

I jak na to — zwinnie, skoro,
Jeleń wybiegł na jezioro.
Za nim szparko, z wiatrem, śniegiem,
Leci pędem nieprzytomnym
Od zapału, dziki łowiec
Po tym lodzie wiarołomnym.
Ach! po pod lodem złe duchy,
Już w zasadzkach czatowały,
Roztrzaskały kryształ kruchy,
I wciągnęły go w czeluści;
W zimnym piasku zagrzebały.
Unktahee, co morzem władnie,
Bóg odmętów i Dakotah,
Martwe ciało złożył na dnie,
Pod Jeziorem Gitche Gumee.

Hiawata stał na wzgórzu,
A gdy jęknął rozpaczliwie,
To dreszcz przebiegł po naturze;
Sam żubr wstrzymał się na drodze,
Słucha z wyciągniętą szyją,
Po zaroślach wilki wyją,
A zbudzony w oddaleniu
Piorun odgrzmiał mu: „Baim-wawa!“

Nieszczęśliwy! ręce łamie,
Czernią powłókł lica swoje,
Płacząc, zamknął się w wigwamie
Z głową, płaszczem otuloną!
Tak sierocy Hiawata
Siedmioro niedziel przeplakał,
Ożalając swego brata.

„Ach skonałeś już samotnie,
Mój ty wieszczu miodosłowy,
Odbiegłeś nas niepowrotnie,
Snać ciębie ta wieczna droga,
Postawiła bliżej Boga —
Stworzyciela wszechmuzyki, —
Mój ty bracie Chibiabos!“

A tęskny modrzew nad głową,
Ciemnym wachlarzem wiał z cicha,
Szumiał szyszką purpurową,
Zda się, z żalu nad nim wzdycha,
I tém wianiem go pociesza
I do jęków jęki męsza.

Przyszła wiosna — ach daremnie
O śpiewaka las się pyta,
Strumyk ciężko westchnął sobie,
I błoń kwiatami wyszyta.

Na modrzewiu tęskno nuci
Owaissa ptak błękitny
„O! Chibiabos, śpiewak szczytny
Już nam umarł, już nie wróci.“

Na strzechę czerwonek siada,
I płaczliwie opowiada:
„O! już umarł Chibiabos,
Król śpiewaków — Chibiabos.“

A Wawonaiss posepny
Błąka się po całych nocach,
Płacząc w kniei niedostępnej.
„On, co mistrzem był dla ptaków,
Chibiabos, Chibiabos
Już nie żyje król śpiewaków.“

Tedy Wabenos, magowie
I Jossakeeds prorocy
Medas, co wracają zdrowie,
Litując się doli czarnej,
Nawiedzili Hiawatę,
Zbudowali dom ofiarny,
By osłodzić ciężką stratę.
Potém obeszli do koła
Niemym chórem pogrzebowym,
Niosąc w torbach mocne zioła,

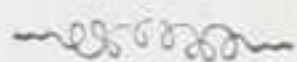
Drogie leki i korzenie,
Skóry z wyder, ostrowidza
I sierć bobra, która sprawia
Czarodziejskie uzdrowienie.

Gdy usłyszał ich stąpania,
Już nie płacze Hiawata,
Nie odrzeka na pytania,
Ust z pytaniem nie otwiera;
Stroskaną głowę odsłania,
Z lic żałobną farbę ściera
I spuściwszy łzawe oczy,
W dom ofiarny zwolna kroczy.

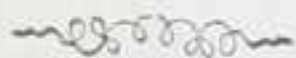
Kiedy wstąpił w namiot święty,
Pić mu dali Nahma-Wusk —
Płynu czarodziejskiej mięty,
I Wabeno-wusk, złocienia,
Zaklętych ziół uzdrowienia.
Więc poczęli bić w tympany,
I grzechotać — a w przemiany,
To chórem, to po jednemu,
Spiewać pieśni czarodziejskie.

„Jam to, patrzcie, dziwy, dziwy,
Przerzeknął Król-Orzeł siwy;
Wrony białe dajcie słuchy,

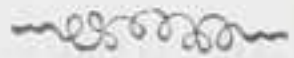
Głośny piorun trzyma ze mną,
Ze mną wszystkie tajne duchy.
Oto słyszę ich wołanie,
Słyszę na około nieba,
Uzdrowię cię, luby bracie,
Wiem jakich leków potrzeba.
„Hi-au-ha!“ odgrzmiał chór mężki,
„Way-ha-way!“ chór czarnoksiężki.



„Ze mną węże się zbratały,
Na mnie drży skóra jastrzębia,
Chcę — wnet legnie nurek biały,
Mogę zabić serce twoje.
Nie, nie, wolę wionąć na cię,
Uzdrowić, mój luby bracie.



„Jam to jest — nakłońcież uszy
Prorok mówi — od słów jego,
Wigwam z posad się poruszy
I wstrząśnie przybytek święty,
Niewidomą ręką tknięty.



Gdy ja mówię — niebios stropy
Gną się pod mojami stopy,
Ja Ciebie mocą owionę,
Ja uzdrowię, mój ty bracie.
„Hi-au-ha!“ odgrzmiał chór mężki,
„Way-ha-way!“ chór czarnoksiężki.“

I trząść jęli zioła, kwiaty
Po nad głową Hiawaty,
Obeszli go tańcem magii,
I zerwał się osłupiały
Jakby ze snu — wraz go szaly
Odstąpiły — i ozdrowiał.
A jak z nieba zwiane chmury,
Z mózgu zeszedł cień ponury,
A jak z rzeki kra zmieciona,
Odbiegł smutek z jego łona,
Czarna namiętność odbiegła.

Tedy z grobu, z po pod fali,
Z dna morskiego Gitche-Gumee,
Chibiabosa wyzywali,
Serdecznego przyjaciela.
A tak czarodziejską była
Moc zaklęcia, magii siła,
Że posłyszał ze dna piasku,

Że dosłyszał zakłęć wrzasku,
Pogrzebany w oceanie.
I wstał martwy, zmartwychwstały,
Na muzykę i śpiewanie.
Ulegając siłom magii,
Doszedł progu — o! nie dalej,
Bo mu wchodzić zakazali;
Lecz drzwiami niedomkniętymi
Dali mu jarzącą głownię,
I postawili go królem
W kraju dusz nad umarłemi.
Aby ci, co umrą potem,
U téj głowni zapalili
Głownie przed nocnym namiotem,
Kiedy będą wędrowali
Po gościńcu do Pomenah,
Do gospody zaświatowéj.
A tak z macierzystéj wioski,
Z ziemi ojców, towarzyszy,
Szedł na lasy śpiewak boski,
Szedł w poważnéj, smętnéj ciszy.
Jako dym, spędzony z drogi“
Wolno znikał Chibiabos.
A tak wolno nikł z widoku,

Że ni trawka, ani zwiędły
Suchy liść zeszłego roku
Nie szeleścił mu pod stopą.

Cale cztery dni wędrował
Drogą dusz, pijąc jagody,
Dla umarłych poświęcone.
I przeprawił się przez wody
Po kładce, co pod nim drżała,
Aż zeszedł na srebrne morze,
Aż go uniósł prom z kamieni
Na wyspę błogosławionych—
Do świata duchów i cieni.

I spotkał wśród wolnej drogi
Dusz strudzonych poczet mnogi,
Co obarczone w ciężary:
W futra, jadło, przyjacielską
Ręką na podróż podane;
W czarki i drogie puchary,
Zbroje, nasieki i strzały,
Pod brzemieniem omdlewały.
„Czemuż, czemu, mówią one,
Te ciężary nałożone!
Lżej nam byłoby iść nago,

Snadniejby nam iść o głodzie,
Niż mdlejąc pod brzemion waga,
Na tę podróż nieskończoną!“

W świat się puszcza Hiawata,
Ożalając przyjaciela,
I daleko od ojczyzny
Poniósł tajemnicę ziela
I przyprawę od trucizny,
Od choroby, od zarazy;
Po raz pierwszy śmiertelnicy
Doszli świętej tajemnicy,
Świętej wiedzy uzdrowienia.



XVI.

PAU-PUK-KEEWIS.



Sluchajcież, jak Pau-puk-keewis,
Jak prześliczny Yenadizze,
Co go zwano pędzi-nogą
Całą wieś nabawiał trwogą;
Jak odbieżał Hiawatę,
Na jakie się puszczał gwałty,
Jak przedziergał w różne kształty,
Jak zakończył swe niecnoty.

Na pomorzu Gitche Gumee,
Na wymiałach Nagow-Wudjo,
Przy jeziorze przezroczysem,
Stał wigwam Pau-puk-keewisa.

On to namiótł w dzikim szale,
Ten stos piasku na wymiale,
Na wymiale Nagow-Wudjoo,
Kiedy w gronie ślubnych gości
Raz się puścił w Taniec Dziada,
By im dodać wesołości.

Więc ze żądzą przygód pała,
Wyszedł z domu Pau-puk-keewis
Wieś odwiedzić — a jak na to
Mnoga młodzież się zebrała,
W chacie Jagoo bazarza,
Co powieści cudotworne
Stare prawi, nowe stwarza.

Właśnie była powieść w toku
O Ojeegu, Twórcy lata.
Jak Ojeeg Twórca lata
Wykuł przeręblę w obłoku,
Jak przeręblą wlaźł do nieba
I wypuścił po za sobą
Hoże lato — wiekuiste.
Jak się potem na to dzieło
I niejedno zwierzę pięło,
Łbem i łapą kołatało.
Pierwsza wydra, za nią borsuk,

Bóbr, ostrowidz nieulekły,
Tak, że nieba pod ciosami
Już pękały — lecz nie pękły,
Aż Rosomak jął się trudu,
Jak wywiórka, gnąc kolana,
Jak świerszcz, ściągając ramiona
I dokonał dzieła cudu.

„Raz podskoczył,“ rzecze stary
„I oto nad nim niebiosą,
Zgięły się, jak lodu bryła,
Co go woda podmulila.
Znów podskoczył, a niebiosą
Zrysowały się jak lody,
Gdy już z góry naprą wody.
Znów podskoczył — wnet niebiosą
Pękły nad nim roztrzaskane.
Sam on zniknął za obłokiem;
A Ojeeg Rybak-Łasica
Wdarł się za nim jednym skokiem.“

„No, no!“ — krzyknął Pau-puk-keewis,
Pokazując się na progu,
„Znudziły mię te marzydła,
Bajki twoje — i ta mądrość
Hiawaty mi obrzydła.“

Otom przyniósł wam zabawkę
Więcej w niej życia i składu,
Jak w tém wiecznym gadu — gadu.“

I z wilczoskórej kieszeni
Wytrząsł bystro, uoczyście,
Cały przyrząd Pugasaing,
Do gry „w trzynaście kamieni.“
Każdy biały z jednej strony,
Z drugiej każdy był czerwony,
Dwa Kenabeek wielkie węże,
Dwa Ininewug pacholiki,
Jedna pałka Pugamangun,
I Keego ryba wysmukła,
Cztery okrągłe kamyki
I trzy kaczęta Sheshebwug,
Wszystkie z kości — malowane;
Tylko okrągłe kamienie
Każdy z miedzi, obtoczony
Z góry, czarny z drugiej strony.
W drewniany kubek je wrzucił,
Trząsnął kubkiem, zmieszał, skłócił,
Potém wytrząsnął na ziemię
I tłumacząc grę, zawołał:
„Wszystkie padły na czerwono

Tylko wielki Kenabeek
Padł na stronę obtoczoną
Miedzianego Ozawabeek,
To ma znaczyć na wygraną
Trzynaście dziesiąt i osiem.“
Znów kamienie w kubek rzucił
Wstrząsnął kubkiem, zmięszał, skłócił,
I wytrząsnął znów na ziemię
I tak widzom grę tłómaczy:

„Biało padły oba węże,
Biało padły pacholiki
To pięćdziesiąt osiem znaczy.“

Tak wyklada gry losowe,
Rzuty, zmiany coraz nowe,
Pokazując z każdą zmianą
I rachubę i wygraną,
A tu całą wzroku siłą
Dwadzieścia oczów patrzyło.

„Niejedną grę, rzekł Jagoo,
Widziałem w narodach wielu
I gier losu i fortelu,
Siłam przejrzał już oczyma.
I tak radzę — kto ze starym
Jagoo mierzyć się waży,

Niech się ostro w palcach trzyma;
Tyś to niby syt mądrości
Pau-puk-keewis, wzdy cię zmogę
I przyuczę, dam przestrozę
Jak to grać w kubek i kości.“

Więc usiedli — gra się wszczęła
Młódź, starcy, kto żyw, do dzieła,
Do białego dnia — na szaty,
Perły, na oręż bogaty.
Aż im chytry Pau-puk-keewis
Powydzierał wszystkie skarby,
Suknie, futra z gronostai,
Kity z piór prześlicznej farby,
Pasy, przybory wojenne,
Koszule z jeleniej skóry,
Lulki, torby drogocenne.
A tu całą wzroku siłą
Na zdobywcę ócz dwadzieścia
Iście wilczych ócz patrzyło.

„Ach! zawoła gracz szczęśliwy,
Oto w chacie méj bezludno,
Błądę światem, przygód chciwy,
A samemu błdzić nudno;
Więc mi żądno przewodnika,

Towarzysza, coby ze mną
Szedł wespół, lulkę mi dźwignął.
Patrzcie — oto jest wygrana,
Ten stos z drogich szat nabity,
Wszystkie perły, barwne kity,
Idą o tego młodziana.“
A to był siostrzan Jagoo,
Lud nazywał go „Twarz-za-mgłą.“

Zapłonęło starca oko
Jako w lulce pod popiołem
Tli się żar ciemno-czerwono.
„No!“ odrzekł mu z dumnym czołem
„No!“ odrzekło całe grono.
Wraz Jagoo wśród odgłosu
W pięść kościstą ujął silnie
Czarodziejski kubek losu
Z kamykami — i tak dziko
I tak wściekle trząsnął niemi,
Że mu wszystkie razem dźwiękły,
Że mn wszystkie razem jękły
Rozsypując się po ziemi.

Kenabeek padły czerwono,
Pacholiki i kaczęta,
Ryba biało, krągłe czarno
I pięć tylko naliczono.

Uśmiechnął się Pau-puk-keewis,
Potrząsł kubkiem i wesoło
Kostki wyrzucił w powietrze
I rozbiegły się w okolo.

Krągłe padły po połowie,
Dwie jasno, dwie czarną stroną,
Reszta bialo i czerwono.
Tylko jeden Inenewug
Stanął sparty wpośród kości,
Jak on sam wsparty zapalem
Stanął dumnie wpośród gości
Krzyząc: „pięćdziesiąt! — wygrałem!“
A dwadzieścia ocz patrzyło,
Iście wilczych ocz patrzyło.

Jak odwróci się, jak pójdzie!
A za nim siostrzan Jagoa
Szedł za giermka — rosły, śliczny;
Niósł na barkach łup przeliczny,
Gronostaje, perły, stroje,
Skóry łosie, lulki, zbroje.

„Dźwigaj,“ zwycięzca mu powie
I wachlarzem wskazał drogę.
„Do méj izby ku wschodowi,
Na wyspy Nagow Wudjo.“

Rzekł i w pole dumnie kroczy,
A od zgiełku gry, ód dymu
Krwią zabiegły jego oczy.

Więc mu pilno, by piersiami
Chwycić letnią wonność świeżą;
A tu wokół wspólném hasłem
Wszystkie strugi rącho bieżą,
Nuci ptastwo wszystkiój ziemi
I serce Pau-puk-keewisa
Istne ptaszę nuci z niemi,
Istna struga, bije żwawo.
Gdy o świcie, wolen troski,
Bystro mija chaty, wioski
Mija, dzierząc ręką prawą,
Z białych piór wachlarz bogaty.
Aż na samym skraju wioski,
Zoczył wigwam Hiawaty.

W domu cisza i pustkowie,
Nikt nie wita, nie nadchodzi,
Nie ugości w dobrém słowie,
Tylko ptastwo śpiew wywodzi.
Kędy stąpisz: w izbę, w sienie,
Trzepot, skoki, wrzawa, pienie,
Zgiełk biesiady, skrzydłem bicie;

A na samym dachu szczycie
Kahgahgee, król nad krukami
Ognistym wzrokiem go zmierzył,
Skrzydłami na gwałt uderzył,
„Pustki i cisza grobowa,
Szepnął sobie Pau-puk-keewis.
A już w sercu zbrodnię knowa.
„Nie widać żywego ducha
Wyszedł wojak Hiawata,
I niezdarna Minnehaa
I osędziła starucha.
Iście wszystko tu zamarło,
Tylko został dom bezbronny.“
Wraz kruka chwycił za gardło,
Zakręcił szyję do koła,
Jak grzechotkę — jak torebkę,
Co leczące kryje zioła.
Udusił kruka Kahgahgee.
A tak martwe więźnia ciało
Zwisłe u strzechy zostało
Na znak zniewagi i sromu
Dla Hiawaty i domu.

A tak cisza go ośmiela,
Że próg przeszedł pokryjomu,

Miećąc ręką niszczyciela
Dziki bezład po wigwanie:
Burzy, kruszy, sprzęty łamie,
Kubki z drzewa, czarki z gliny,
Opony z bawolój skóry,
Gronostaje i jaszczury.
Wszystko legło — na znak sromu
Dla Nokomis i dla domu.

Wyszedł wreszcie Pau-puk-keewis
Świszcząc, nucąc w dzikim pędzie,
Zaśpiewał coś do wywiórki,
Co mu z olszowej komórki
Ronila na skroń żołądzie.
Znów do ptaszka coś zagada,
A ten mu z pomroku liści,
Pieśnią szczęścia odpowiada.
Potém wdarłszy się na skały,
Co z wysoka spozierały
Na jezioro Gitche Gumee,
W samym szczycie się uczepił
I wzrok chytry w przestwór wlepił,
Wyglądając Hiawaty.

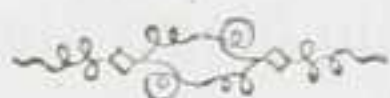
Leży grzbietem rozciągniony;
Pod nim zdala gwarzą wody,

Gwarzą, marzą senne wody,
Nad nim zdala świecą nieba
Świecą, lecą senne nieba.
W okół krążą śpiewne światy
Leśnych kurcząt Hiawaty,
Tuż, tuż, że go rzeszą grzmiącą
Omial skrzydłem nie potracą.
On krążących w gęstym stadzie
Tysiącami martwo kładzie
I w zatokę trupy ciska.
Wreszcie Kayoshk, morska mewa
Uczepiła się urwiska,
Wołając głosem boleści:
„On — tak — on to nas zabija,
Żywo, żywo ślijcie wieści
Do braciszka, Hiawaty.“



XVIII.

POGOŃ ZA PAU-PUK-KEEWISEM.



Hiawata wrzał od gniewu,
Kiedy, wróciwszy z biesiady,
Osluchał się czynów zdrady,
Bezeczności, krwi rozlewu.
Całą wioskę zgroza zdejma
Wrząc i brzęcząc, istny szerszeń,
Ledwie puszczał dech nozdrzyma;
Tylko przez zęby z ust jego
Gniewu, pomsty słowa biega.
„Och! zabiję tego zbójcę
Zabiję Pau-puk-keewisa!

Ni mi droga będzie długa,
Ni świat cały tak rozległy,
By go gniew mój nie doścignął
Ciosy pomsty nie dobiegły.“

I z orszakiem dzielnych łowców
W rączą pogoń ruszył za nim,
Lasem, puszczą, wśród manowców
Na przylądek wzwyż jeziora;
Lecz nie dopadł już potwora,
Tylko wśród zmiętego ziela,
Wśród żurawiny została
Szczałka z łoża niszczyciela;
Tylko odcisk jego ciała.

A tam w nizach po pod niemi,
Widać zbiega — stał na bloni,
Wyzywając, drwiąc z pogoni
Skinieniami szyderczemi.

„O!“ zawołał Hiawata
Stojąc na szczycie przylądka,
„Nie kręta mi żadna droga,
Ni świat cały tak rozległy,
Bo mój gniew nie dosięgnął wroga,
Ciosy pomsty nie dobiegły.“

A zbieg chytry przez urwiska,

Pod czarnemi boru stropy,
Pędzi rzutem antylopy;
Po mchu, krzewach, dzikim rdeście,
W bród przez wody, aż nareście,
Gdzieś głęboko w głuchym borze
Przystanął nad brzegiem zdroju
Wielkiej ciszy i spokoju,
Choć zdrój wezbrał po nad łożę.
Trudem bobrów zbudowana
Stała grobla — w nurtach wody
Drzewa stoją po kolana,
Wodne lilie się kołyszą
I pogięte trzciny dyszą.
On przez chwilę stał nad groblą
Z mchu, gałęzi, z pniów ubitą,
Przez jej szpary biją wody,
Górą bije wód koryto.
Wtém bóbr wypłynął z pod wody
I pogląda tak zdumiało
Dużem okiem, że się zdało,
Jakby mówić chciał z przychodnim.
Pau-puk-keewis stał nad groblą,
A już strumień wodą srebrną
Wyżej stopy zbiega rosił,

Więc bobra mową pochlebną
Uśmiechając się tak prosił:
„Bracie, bobrze, jak rozkoszne,
Jak chłodne wody przezrocze;
Niech ja w głębiach jój utonę,
W waszym domku mam ochronę,
Niech się w bobra przeistoczę.“

Ale bóbr ostrożny w mowie
Ni tak, ni w spak mu odpowie:
„Że pierw spyta i wybada
Jaka będzie drugich rada.“
Wpadł też zaraz do topieli,
Jako ciężki kamień wpada
I ugrąził w szarój pościeli
Z liści na dnie rozesłanej.

Pau-puk-keewis stał na tamie
Zdrój mu sięga do goleni
I szparami się przeciska,
I snuje po tle z kamieni,
A od słońca i od cieni
Po nad głową w obie strony
To mrok leci, to blask świeci
W cętki światła rozdrobiony.

W tém spokojnie z dna powodzi

Po nad szybę wód wychodzi
Bóbr za bobrem — jedna, druga,
Setna głowa, czarna, świetna
Z wód wyziera, aż się struga
Pełną zdała czarnych twarzy.

Ledwie spojrział się zbieg na nie,
Jużci w prośby — i tak rzecze:

„Jak lube wasze mieszkanie,
W którym trwoga nie postanie,
I marne troski człowiecze!
Zaliż, drodzy przyjaciele,
Nie starczą wasze fortele
I rozумы i przemysły,
By mię w bobra przeistoczyć?“

„Zgoda, zgoda,“ rzecze Ahmeek,
Co był królem nad bobrami,
My cię skryjem pod wodami
Na zaciszném dnie strumienia.“

Więc usłuchał bobrów króla,
Zapadł pod wodne sklepienia,
I zaraz na nim koszula
Z sarniej kory i strój cały
I obuwie poczerniały;
Z franzli i lisich napiętków

Czarny ogon mu wyskoczył:
Zbieg w bobra się przeistoczył.

„Bobry moje ukochane,
Znów zawoła, niech się stanę
Więszym, większym, jeszcze większym,
Nad wszystkie bobry olbrzymem.“

„Zgoda, Ahmeek król odpowie,
Tylko ukryj się pod norą,
My tam ciebie nad ród bobrów
Rozszerzymy w dziesięcioro.“

Zwolna tedy Pau-puk-keewis
Do jasno-modrych czeluści,
Na dno zdrojów się zapuści.
Dno z gałęzi z pniów ubite,
A na zimę po pod wodą
Komórki karmami syte,
Żywność na głód w stosach leży,
A drzwi w łuk sklepione, wiodą
Do głębi krytych alkierzy,
Tu go bobry w moc swą biorą,
Ogrom dają mu nad wszystkie
Rozszerzają w dziesięcioro.

„Oto, rzekły, Yenadizze,
Będiesz królem nad bobrami.“

Niedługo téj ciszy błogiéj
W krytych pod wodą komnatach,
Wnet się rozległ głos przestrogi
Od bobra, co stał na czatach,
W gąszczu trzcin i lilij wodnych,
„Pogoń, pogoń z Hiawatą.“

I tuż słychać nad głowami
Łoskot kroków, trzaski, wrzaski,
Gwar i okrzyk przeraźliwy.
Góram, w okół woda sama
Rozstała się w odpływy,
I rozbita pęka tama.

Pogoń wpada na szczyt gmachu,
Rwie, burzy, kruszy bez końca;
Przez otwarte szpary dachu
Buchnął strumieniem blask słońca.
Wszystkie bobry w jednym skoku
Głębiéj wpadły w rzeczne łoże
I znikły w nurtach potoku;
Lecz potężny Pau-puk-keewis
Z drzwi przecisnąć się nie może,
Karmem i pychą nadęty.

Hiawata zajrzał w głębią
Przez dach, rozbity na szczęty.

„O! zawołał Yenadizze,
Próżny wykręt, próżne czary;
Znam cię, znam cię, Pau-puk-keewis,
Nie ujdiesz ty mściwój kary.“

I biją go nasiekami,
Aż z nasieków lecą drzazgi,
Tłuką, iście ryżu wiązki,
Aż czaszka prysła na miazgi.
I na żerdzie, na gałązki,
Ułożywszy brzemie ciała,
Sześciu łowców silnej ręki,
Ponieśli go — lecz wśród męki
Jego Dzeebi, jego dusza
Żyła, czuła i myślała.
Ze snu śmierci obudzona,
Rwie się, faluje, porusza,
Jak faluje w drzwiach zasłona,
Rwąc opaskę z łaniój skóry,
Gdy zimowy wiatr powionie;
Aż się w siebie zbiegła cała,
Z ciała swego zmartwychwstała.
Twarz i postać przyoblekła,
Twarz chytrego Yenadizze
I w bezdenny las uciekła.

Lecz nim znikła postać zbiega,
Hiawata ją postrzega,
Ową duszę Yenadizze;
Jak jedwabne, modre cienie,
Wkradła się po pod sklepienie
Gęstych sosen — i w przedziały,
Co las biało roztwierały,
Biegła wśród trwogi i dreszczu,
Jak wiatr, co gałęzie zgina,
A za nią, jak potok deszczu,
Pędził mściciel Hiawata.

Z tchem ściśnionym, Pau-puk-keewis
Dopadł jeziora z wyspami,
Kędy w gąszczu lilii białej
Stada gęsi zeglowały
W okół wysp, krasnemi wiosły
Prując płyn trzcina porosły,
A ich dziób czarny, szeroki
To zanurzy się, to wzbije
Po nad wodę — a ich szyje
To zaczernią się na cieniu,
To zalśnią w słońca promieniu.

„Pishnekuh! krzyknął Pau-puk-keewis,
Pishnekuh! siostry ukochane,

Przebierzcie mię za gęś białą,
Dajcie wasze śnieżne ciało,
Dajcie pióra pobielane,
Szyję lśniącą — niech ogromem
Będę pierwszy w waszym rodzie.“

Więc za dziką gęś przebrany,
Żeglował po skłającej wodzie,
Dziób miał długi, szyję ściągłą,
Skrzydła wielkie, pierś okrągłą,
I od gęsi najroślejszój
Był roślejszy w dziesięcioro.
A tu w pogoni za zbiegiem,
Hiawata stał nad brzegiem.

Z biciem skrzydeł gwarne mrowie
Rwie się, wzbija nad sitowie,
Z pośród żółtych lilij wodnych
I ostrowów trzciniarodnych.
A do zbiega tak mówiły:
„Baczność, bacznosc, Yenadizze,
Na przestroge byś pamiętał,
Baczność, bacznosc od zawrotu,
By cię zamęt nie opętał
Nie patrz w ziemię wśród polotu.

I na północ poleciały,
Na dalekie trzęsawiska.

A za niemi mgły bieląły,
A za niemi słońce błyska;
W trzcinach zaległy noclegiem.

Gdy nazajutrz, znów o świcie
Żeglujących po błękiecie
Kołysze wiatr południowy,
I podwiewa i podgania,
Oto nagle z nizów ziemi
Słysząc krzyki po pod niemi
Ludzkie głosy i wołania
Z chat wieśniaczych, gdzieś daleko
W głębokościach widnokregu.
Bo lud stanął zadumiony,
Stanął, patrzy — i nie wierzy:
Oto leci oskrzydłony,
Z gęsi stadem Pau-puk-keewis,
I skrzydłami wieje szerzej,
Niżli we drzwiach dwie zasłony.

O! dosłyszał mąż skrzydlaty
Groźne słowo Hiawaty,
Jagosa krzyk złowrogi;
I niebaczny na przestrogi,
Schylił głowę, spojrzął w ziemię,
Wiatr, co gnał go po eterze,

Zadarł, skrzył jego pierze
I zepchnął bezwładne brzemie.

Próżno skrzydły znękanemi
Rwie się, waży Pau-puk-keewis,
Lecąc w kręgach w głąb ku ziemi.
Pod nim w nizach chat gromada,
Nad nim w górze gęsi stada,
Coraz bliżej chaty świecą,
Coraz dalej stada lecą,
Głośniej słyhać ludu krzyki,
Urągania i śmiech dziki,
Już i znikło lotne plemie,
Widać tylko czarną ziemię.
Tak ze skrzydłem potrzaskaném,
Modrych próżni oceanem,
Wśród szyderczych krzyków ludu
Upadł możny Yenadizze.

Lecz duch jego, lecz cień jego
Jeszcze żyje — i przenika —
Bierze rysy i postawę
Prześlicznego tanecznika,
Wnet omdlałe ciało dźwiga
I umknął — a Hiawata
Zbiega słowem pomsty ściga.

„Nie kręta mi żadna droga,
Ni świat cały tak rozległy,
By mój gniew nie dosiadł wroga,
Ciosy pomsty nie dobiegły.“

I tak chyżą biegł pogonią,
Że go prawie chwycił dłonią.
Ale chytry Pau-puk-keewis,
Gdy prawicę wroga zoczył,
Zwinnym kręgiem się zatoczył,
Wokół siebie wiatr rozdmuchał.
Za nim liście, za nim pyły
W bałwan kurzu się skręciły.
On przez tumanu zamęty
Na spruchniały dąb wyskoczył
I w gadzinę wyciągnięty,
Prześliznął się konary.

Ale silny Hiawata
Jednym ciosem pień rozszczypał,
U nóg jego dąb zwałony
W gruzy pruchna się rozsypał.
Nadaremnie Pau-puk-keewis,
W ludzką postać obleczoney,
Znów pomyka przed oczyma,
Pruszy pyłem, tuman wzdyma,

Pędzi nad Wielkie Jezioro,
Na pomorze Gitche Gumee,
Na piaskowe, barwne skały,
Co w przylądek wyciosane,
Z gór ku falom spozierały.

A oto z głębi Mąż Stary,
Duch władzący nad górami,
Roztworzył wrota pieczary,
I głąb nakrytą skałami;
Nie poskąpił mu ochrony,
I zaprasza na przytułek,
W ten posepny — czarny namiot,
Z piaskowych skał wysklepiony.

Stał pod skałą Hiawata,
Pomstą wrzało jego lico —
Więc w kamienne drzwi kołata,
Czarodziejską rękawicą
Krzyząc — iście hukiem grzmotu:
„Otwórz, jam jest Hiawata.“
Lecz duch góry, podziemnego
Nie otworzył mu namiotu,
I z niemych przepaści głazu
Nie oddaje mu wyrazu.

Kiedy tak! więc, wzniosłszy ręce,

Począł wzywać nawałnicę,
Waywassimo — błyskawicę,
I piorun — Annemeekee.
Przyszły oba na wezwanie
Z dalekich gór piorunowych,
Przyszły z nocą i ciemnością,
Wywracając wód otchłanie.

 Z głębi góry Pau-puk-keewis
Słyszy piorunu stąpanie,
A gdy dopatrzył z ciemnicy
Krwawych oczów błyskawicy,
Uląkł się, padł i przytulił.
Tedy pierwsza błyskawica
Wrota jaskini rozświeca,
Od podnoża do jój szczytu,
Bijąc ognistym językiem,
Rogatą skałę granitu;
Za nią piorun Annemeekee
Padł w jaskinią z groźnym rykiem,
Mówiąc: „gdzież jest Pau-puk-keewis.“
Pękła skała, a pod skałą
Wiarołomcy martwe ciało,
Gromem zgruchotane leży.
W ludzką postać obleczony,

Leży śliczny Yenadizee
Pierwszy z graczków i tancerzy!

Koniec dzikięj jego doli,
Koniec harcom i swawoli
I zabawie i pustotom
I podstępom i zalotom,
Koniec tańcom, graniu w kości,
I zabiegom i miłości.

A cień jego, duszę jego
Wziął szlachetny Hiawata,
Rzekąc smętnie do zmarłego:
„O! już nigdy Pau-puk-keewis,
Nigdy w człowieczęj postaci
Młodością nie poszalejesz,
Ni ty w rzeźwém gronie braci,
Pyłu, liści nie rozwiejesz
Wirem tańcu śmieszac gości!
Jedno tam — na wysokości
Żeglowanie i krążenie
Czeka ciebie, mój kochany —
Oto w orła cię przemienie,
W króla orłów — tam skrzydlaty,
Bądź mi władcą wszystkich ptaków,
Dzikich kurcząt Hiawaty.“

I po dziśdzień jego imię
Kołata się wpośród ludzi,
Nieraz piosnka w rzewnym rymie
Z niepamięci go przebudzi;
A gdy zimą śnieżne płaty
Wirem kręcą wkoło chaty,
Gdy posępnie w nocnej chwili
Nad kominem wiatr zakwili,
„Patrzcie, mówi cierń wrzaśliwa,
On to idzie — on wesolo
Tańcami obiega sioło,
On gromadzi swoje zniwa.“



XVIII.

ŚMIERĆ KWASYNDA.



Wszereż i wzdłuż, jak świat rozległy,
O Kwasyndzie wieści biegły.
Nikt mu w boju nie podola,
Nikt mu nie nastawi czoła.
Lecz złośliwe Puk-Wudjies,
Nienawistne leśne karły,
Małoludy, czarodzieje,
Na zgubę sojusz zawarły.
„Jeśli, mówią, ten niecnota,
Który prawicą olbrzyma

Czego dotknie, to gruchota,
Cały świat w podziwie trzyma,
Jeśli dumny, wielki Kwasynd
Dzikich harców nie powstrzyma,
Na cóż zejda Puk-Wudjies?
Kto ich uczci, kto oszczędzi?
On zadcpcze nas jak bedłki,
Wszystkie do wody zapędzi
I zatopi w nurt głęboki,
Stratowane karłów zwłoki
Wodnym duchom na pożarcie.“

Tak się karły sprzymierzyły,
Na mocarza groźnej siły.
I przysięgły mu zagładę,
By już pychą, siłą, groźbą
Trwogi na nich nie sprowadzał,
By na ziemi nie zawadzał.

A całą moc i obronę
Miał w ciemieniu utajoną —
W ciemieniu też niemoc była,
I jedyny przystęp ranie,
A krom tego żadna siła,
Żaden oręż mu nie szkodził,
Żaden pocisk nie ugodził.

A tu jedna broń potężna,
Jedna tylko zabić mogła:
Szyszka z jodły i sosniny
Pstra, nasienna, ostrokrężna.
Lecz śmiertelnój tajemnicy
Nie wybadał nikt na świecie,
Tylko karły zawistnicy,
Oni tylko zabić mogli.

Więc zbiegłszy się wielką zgrają
W gęstych puszczech po nad rzeką,
Trzęsą szyszki i zbierają,
To sosnowe, to jodłowe,
W grube stosy układają
I tam, gdzie czerwone skały
Nad prądami wód sterczały,
Wzdłuż brzegu zaległszy ziemię,
Leśnych karłów mściwe plemię
Czatowało na Kwasynda.

Po południu w letniej porze,
Parna cisza stała w borze,
Na szklanych prądach milczenie,
Martwym snem leżały cienie,
Blaskiem słońca wyzłacane,
Jak na łyżwach, przez kryształy

Tłumne chrząszcze przebiegały;
A ich brzęki wielostrojne
Gwarne, dzikie, jak wojnę,
Podwajał oddźwięk daleki.

Alić po sennój powodzi,
Po zacisznych nurtach rzeki,
Wolnym biegiem łódź nadchodzi,
W łodzi Kwasynd — mocarz wielki
Spiący, zemdlony znurzeniem,
Parną ciszą i milczeniem.

A z listków powislój łozy,
A z listków płaczącej brzozy
Słodko ściekał duch senności.
Wokół niego senny, mgławcy,
Niewidzialny poczet gości,
Jak owadów szkląca rzesza,
Po nad śpiącym się rozwiesza.

I szepnęło Kwasyndowi,
Tak! szepnęło coś do ucha,
Niby fala, niby piana,
O daleki brzeg strzaskana;
Niby w sosnach zawierucha.
I poczuł na swojej skroni
Cios powietrznej karlej broni,

Spiącą ręką wymierzony,
A to wiały legiony
Ducha senności — Nepahwin.

Kiedy pierwsze ciosy spadły,
To Kwasynda sny obsiadły;
A za drugim uderzeniem,
Nieruchome jego wiosło
Jakby do łodzi przyrosło;
A za trzecim w oczach jego
Wszechwidnokrąg się zatoczył
I zakręcił i zamroczył.

Twardo usnął mocarz wielki
I jak ciemnego kalekę,
Prąd pochwycił go na rzekę,
Wlókł po nurtach Taquamenaw,
Pod zarosłe lasem wzgórze,
Pod baldachim drżącej brzozy,
Kędy mściwe karły leśne,
Rozłożyły swe obozy.

Tu stanęli w rząd orężny
I grad szyszek padł na ziemię,
Na skroń jego, kark potężny
I bezbronne jego ciemię.

„Śmierć wrogowi Kwasyndowi!“

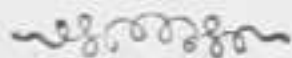
On się zachwiał, on zatoczył
I bezwiednie w głębię wskoczył;
Istna wydra spadł na głowę
Po pod nurty lazururowe.
Tylko łódka owdowiała,
Tramem w górę wywrócona,
Po wód szybie się czołgała
I błakała i zbaczała.

Ani słuchu o Kwasyndzie —
Lecz dziś jeszcze między ludem,
Błądzą po nim głuche dzieje.
Ile razy w czarne noce
Wiatr się wścieka i szaleje,
Z gałęziami się szamoce,
Trzaska, huczy, gąszcz rozpiera,
Zaraz krzyczą: „Kwasynd, Kwasynd
Gdzieś tam w puszczy drzewo zbiera.“



XIX.

DUCHY.



Nigdy jeden sęp nie spadnie
Na swoją pastwę, na zubra,
Co w niemocy legł bezwładnie,
Krwia zboczony pośród boru.
Zaraz drugi sęp z wyzoru
Powietrznego, kiedy na dnie
Krażącego skrzydła zoczy,
Wnet za pierwszym w pogoń leci;
Za nim w pogoń pędzi trzeci.
Naprzód cień, i ptak za cieniem,
Aż od skrzydeł mrok powstanie!

Tak nie spadnie jedna biada;
Zaraz w ślad jój przyczajona,
Jakby na tamtej skinienie
Druga klęska na nią spada,
Za nią trzecia — i tak zgrają
Roje klęsk w okół ofiary
Zlatują się, obsiadają,
Naprzód cienie, potem klęski
Aż od smutku mrok powstanie!

Oto nad ziemią północy
Peboan rozsiadł się groźno;
Tylko wionął pierśią mroźną
I kamieniem prądy stoją.
Trząsnął z włosów płaty śniegu:
Wnet płaszczyznę jednolitą
Zabielalo wód koryto,
I doliny bialo świecą,
Jakby Stwórca stąpnął na nie
I poglaskał swą prawicą.

Łowiec ozuty w sandały,
Po głębokim lesie brodzi;
W siołach żony pracowały,
Tłuką ryż, sprawiają skóry,
Zdala słyhać młódź radosną,

Jak na lodzie w piłkę głośną
I w kurpiowy taniec igra.

Raz wieczór, o dobrym mroku,
Minnehaa w chacie siedzi,
A Nokomis przy jój boku.
I czekały, rychło wróci
Hiawata z polowania.

Połysk ognia na ich lica
Zlewał farbę purpurową,
I migał się w oczach babki,
Jak wodne światło księżyca,
I sklił w oczach Minnehay,
Jak odbite w wodach słońce;
W kącie wigwamu za niemi
Ich cienie siadły od ziemi,
A górą w czeluść komina
W czarnych kłębach dym się wspina.

W tém zadrzała drzwi zasłona,
Lekko od dworu ruszona;
Chwilkę ogień raźniej płonął,
Chwilkę stroną dym odwionął.
Oto w próg domu z przedsienia
Zwolna wchodzą dwie niewiasty,
Bez wyrazu pozdrowienia,

I w najdalszym rogu chaty
Nizko siadły w środku cieni.
Ich wejrzenie, strój ich cały
Nie tutejszych wskazywały.
Blade były, bardzo blade,
Kiedy smutne i w milczeniu.
Rozsiadły się w głębi cieniu.

Czy to wiatr kominem w chatę
Nawiał tajemnicze słowa,
Czy tam w puszczy wywołuje
Koko-koho — chmurna sowa?
Dość że w ciszy coś szepnęło:
„To są martwi w strój ubrani,
To duchowie, w odwiedzin
Przyszli do nas od Ponemah,
Od królestwa z Tamtej Strony.“

Oto zbiegłszy lasy czarne
Do dom wrócił Hiawata,
Kwiaty śniegu niósł na włosach,
Niósł na barkach płową sarnę
I u stóp żony na ziemię,
Porzucił nieżywe brzemie.
A piękniejszym go widziała,
Niżli w owym dniu zalotów,

Gdy jój przyniósł pierwsze dary:
Płową sarnę w znak miłości
I na zakład przyszłej wiary.

Patrzy — a tu przyczajeni
Goście siedzą wpośród cieni,
Więc sam siebie pyta: „któż to,
Kto u Minnehay gości?“
Lecz nie pytał się przychodniów,
Całym domem i ogniskiem,
Sercem pełnym życzliwości,
Hojną dłonią rad dla gości.

Gdy wieczorem stół gotowy,
Gdy już sarna rozdzielona,
Blade goście, białogłowy
Z rogu chaty wyskakują,
I najlepszy kęs porwały.
Nie ostał się i tłuszcz biały
Oddzielony dla małżonki,
Nie pytają, nie dziękują,
Tylko chciwie spożywają
I w róg chaty między cienie
Znów przysiadły na schronienie.

Słowa nie rzekł Hiawata,
Żona z miejsca nie powstała,

Ni Nokomis osędziała,
Ani ruchem, zmianą twarzy
Nikt łakomstwa nie spotwarzy,
Tylko Minnehaa z cicha
Rzekła sobie: „głód ich pali,
Dajmyż biednym wolną wolę,
Niech się karmią, bo zgłodnieli.“

Dzień niejeden wszedł i zaszedł,
Noc niejedna uroczyście
Otrząsnęła z siebie słońce,
Jak z północy suche liście,
Płaty śniegu otrząsają.
Dzień odednia nieruchomie,
Milcząc, duchy goszczą w domie;
Lecz nocą — czy blask księżyca,
Czy się ruszy nawałnica,
Goście w lasy wędrowały,
Znoszą drzewo do wigwamu,
Stosy szyszek na podpały:
I znów milczą, gdy powrócą;
Jak smuciły się, tak smucą.

Ile razy Hiawata
Wróci mrokiem, zbywszy łowy,
Już wieczorny stół gotowy,

I potrawy rozdzielone,
Z rogu chaty goście blade
Zasiadały na biesiadę,
Chwytając najlepsze działy,
Dla małżonki wydzielone.
I znow do cieniu wracały
Bez wyrzutu, bez pytania.

Nigdy ciszy Hiawata
Słowem, okiem nie zakłóci,
Nigdy staruszka Nokomis
Wejrzeniem ich nie zasmuci,
Nie dotknie ich Minnehaa
Ni skinieniem, ni postawą.
Wszystko cierpią kwoli gości,
By święte przychodniów prawo,
Przykazanie gościnności
Nie poniosło ukrzywdzenia,
Ani słowem, ani czynem.

Raz północą Hiawata
Zawsze czujny i przezorny,
Gdy jeszcze głównia na trzonie
Konającym blaskiem płonie,
Słyszy jęki powtarzane
I westchnienia rozpaczliwe.

Wstaje z łoża Hiawata,
Osunęła się kudłata
Z jeleniej skóry kotara,
Patrzy, blade goście — duchy
Powstały wśród nocy głuchej,
I na swoim łożu płaczą.

„Czemże, spyta, goście moi,
Umartwił się duch sierocy,
Że płaczecie o północy?
Czy babka wiekiem znużona,
Czy prześliczna moja żona,
Gościnności wam nie dali,
W służbie miary nie dobrali.“

Tedy goście już nie płaczą,
Już nie wzdychają z rozpaczą,
Tylko głosem wielce słodkim,
„Owo, rzekły, bracia mili,
My jesteśmy dusze zmarłych,
Tych, co niegdy z wami żyli,
Tu z królestwa Chibiabosa
Przychodzimy was doświadczyć,
Przychodzimy dać przestrozę,
Oto smutki, lzy tej ziemi
Dosiegają wysp szczęśliwych,

I rozpaczliwy głos żywych,
Wołający za zmarłemi,
Marnym smutkiem duchy rani!
Więc przychodzim was doświadczyć.
Niebaczeni, niepoznani,
My ciężarem tylko dla was;
Dla zmarłych między żywemi,
Znać nie masz miejsca na ziemi.
Nie przepomnij bracie drogi
Narodowi dać przestrogi,
Niech odtąd na wszystkie wieki
Bolejąca żywych dusza,
Tam w wyspie błogosławionych
Ciszy zmarłych nie narusza!
Niech ciężkie brzemie nie gniecie
W grobie tych, które grzebiecie,
Drogie futra i łańcuchy,
Z pereł czary drogocenne;
Bo pod niemi mdleją duchy.
Tylko jadła im dodajcie
I płomienia, by im świecił.

Cztery dni wędrują zmarli,
Nim wyjdą na duchów brzegi,
Cztery sprawiają noclegi,

I czterykroć ognie niecą;
Więc gdy zmarłych pogrzebiecie,
Niech nad grobem po przed nocą,
Czterykroć ognie zaświecą,
Aby dusza w swém pielgrzymstwie,
Marno światła nie łaknęła,
Omackiem go nie szukała.

Żegnaj Hiawato luby,
Myśmy ciebie nawiedzili,
Aby zażyć serca próby.
Strudziły cię nasze czyny,
Znieważyły odwiedziny.
Och nie! wielką ty masz duszę,
Lecz czekają sroższe próby,
Sroższe walki — o bogdajbyś
Nie uległ w nich Hiawato!

Zamilkły — a tu już cała
Cicha chata omroczała,
Szmer posłyszał Hiawata,
Jakby sukni szeleszczącój,
I od ręki zatajonój,
W drzwiach ruszyły się zasłony,
Coś wionęło nocnym chłodem,
Chwilkę gwiazda poświeciła.

Lecz daremnie wśród światłości
Upatruje duchów — gości,
Co tu przyszli w odwiedziny.
Z dala — z Ponemah dziedziny,
Od wyspy Błogosławionój,
Od królestwa z Tamtėj Strony.



lecz darownie wśród światłości
Upamiętnienie — kochaj,
Co tu przyszedł w odwieczny,
Z dala — a kochał się
Od wstępu błogosławionego,
Od królestwa z Tamnej strony.

GLÓD.

Długa zima, straszna zima!
 Gniewna, mroźna, nieskończona;
 Coraz grubiej wód opona
 Kamienieje, lód się wzdyma;
 Coraz głębiej śniegu płaty,
 Wrzechwidokrąg zaścięłały,
 Szumiąc w lasach w okół chaty,
 Rozpostarły całun biały.
 Z chatą w śniegu zagrzebany,
 Ledwo łowiec się odkopie;

Darmo, wzięwszy rękawice,
Bór przebiega i po tropie,
Chciałby dobrać się do zwierza.
Gdzie tam, śladu nie spotyka,
Ani sarny, ni królika,
Ani tropu w białym lesie.
Omdlał, upadł wśród pochodu,
I gdzieś kona w mękach głodu.

O! ty głodzie i chorobo!
O! ty głodzie, co za sobą
Wleczesz męki i zarazę!
Małóż płaczu naszych dzieciak!
Małóż jęku naszych matek!

Zeschła z głodu wszystka ziemia,
I świat zesechł w okół ziemi,
Głodno niebom — a nad niemi
Straszne gwiazdy, głodną zgrają,
Okiem wilcząt spozierają.

Do wigwamu Hiawaty
Znowu w milczeniu ciemności,
Przyszło dwoje smutnych gości,
Posepnych jak duchy owe.
Nieproszeni, bez wyrazu,
Przebiegli progi domowe,

Nie witając Minnehay,
Tylko przy niej siedli bokiem,
I szaloném, zwiędłym okiem
W twarz niewiasty spozierają.
Jeden mówi: „spojrz mi w oczy,
Jam głód-jędza Bukadawin.“
Drugi mówi: „spojrz mi w oczy,
Jam choroba — Ahkosewin,“
A na serce białogłowy,
Dreszczem padło to spojrzenie,
Dreszczem spadły groźne mowy.
Więc na łoże drząc uciekła,
Skryła twarz, lecz nie odrzekła,
Żarem, zimném ogarniona!
Tak ją krwawe słowa ranią,
Tak złowieszczo patrzą na nią.

W bór bezludny, bór przestrony,
Biegł Hiawata szalony;
Czarną tęskność miał na sercu,
Lecz w twarzy kamienną stałość;
Na brwiach krwawy pot mu siada,
Siada, marznie — nie opada.
Odziany w futro na łowy,
Łuk porywa jesionowy,

Kołczan grotami nabity,
Czarnoksiężkie rękawice,
I w bezdrożne okolice
Głuchych lasów się zapuszcza.

„Wszechmocny Githche Monito!“
Wolał, wznosząc dłoń do nieba!
„Ojcze! daj twym dziatkom chleba,
Chleba Ojcze, albo zgonu!
Chleba mojej Minnehay
Konającej Minnehay.“

Darmo — po rozgłośnym lesie
Po bezdennym, pustym lesie,
Krzyk rozpaczy wiatrem niesie.
Lecz nie było odpowiedzi;
Tylko rozległ się tułaczy
Oddźwięk jęków i rozpaczy:
„Minnehaa, Minnehaa!“

Tak przeblądził Hiawata
Całą dobę w głuchym lesie,
Pod którego niegdyś cieniem,
W dniach wiekopomnego lata,
Z wiarą, życiem, rozrzewnieniem,
Z dalekiej ziemi Dakotah,
Młodą żonę w dom sprowadził,

A nucili mu ptaszkanie,
Pełna woni okolica,
Strumyk wdzięczył się w parowie,
A śliczna oblubienica,
Rzekła ustami drżącemi:
„Mój kochanku, pójdę z tobą
Hiawato — do twój ziemi.“

Dziś niestety u Nokomis,
Z dwojgiem gości po nad sobą,
Z jędzą-głodem i chorobą,
Co na czatach przy niej stoją,
Na swém łożu — nieszczęśliwa
Minnehaa dogorywa.

„Słuchaj, mówi: ja w oddali,
Ja gwar słyszę, bicie fali!
To kaskada Minnehaa
Woła na mnie — tak! ja słyszę.“

„Nie, dziecię, rzekła Nokomis,
To wiatr liściami kołysze.“

„Patrzaj, mówi, u podwoi
Ojca widzę, w progu stoi,
Skinął na mnie ojcowskiemi
Dłońmi z Dakotahów ziemi.“

„Nie, dziecię, rzecze Nokomis,
Dym to skinął, dym powiewny.“

„Ach! zawoła, pod pomroką
Już Pauguka widać oko,
Oko śmierci — błyska, błyska,
Ach! już czuję, jak mi ściska
Rękę ręką lodowatą,
Hiawato, Hiawato!“

A nieszczęsny Hiawata,
Tam gdzieś w czarnych puszcach głębinie,
W gór dalekich rozpadlinie
Usłyszał jęki boleści.
I ten straszny głos niewieści,
Co przyzywał go w pomroku:
„Hiawato, Hiawato.“
Biegnie — w dole śniegu morza,
Zaspy leżą i bezdroża,
W górze z liści zwisły szrony.
W progu stanął jak szalony
Z próżną ręką — a w wigwanie
Babka jęczy — ręce łamie
„Wahonomin, Wahonomin!
O bodajbym ja przy tobie
Miasto wnuki legła w grobie,
Wahonomin, Wahonomin!“

Wbiegł do izby — wbiegł i słucha,

Oto Nokomis zgrzybiała,
Drżąc z żalości omdlewała,
A święta oblubienica
Zimna leży już bez ducha.
O jak serce w nim wybuchło!
Kiedyż w lesie na jęk jego
Zatrzęsło się — i przygluchło,
Kiedy na niebie gwiazd bryły,
Kiedy światłości niebieskie
W swoich światach się ruszyły.

Tedy niemy, pogneębiony
Siadł na łożu martwej żony,
Przy téj rączej, chętnej stopie,
Co już nigdy nie powstanie,
Nie zabieży na spotkanie!
Za kochankiem nie pogoni!
Tak przesiedział wśród niemocy,
Siedem dni i siedem nocy,
Słoniąc twarz w obojój dłoni,
Jakby zjęty był mdłościami,
Niemy, głuchy, osłupiały,
Nieświadomy dnia i nocy.

I złożyli drogie zwłoki
Po pod śniegiem, w grób głęboki,

W lasów mroku — nad mogiłą
Grono jodeł szeleściło.
Na odchodnym Hiawata
Przenajdroższy strój oddaje,
Śliczne szaty, gronostaje
I przysypał pogrzebioną
Śniegiem — iście gronostajem.
A wśród nocy na jej grobie,
Po czterokroć zażegnione
Płoną ognie i nie gasną —
By jej duch miał drogę jasną
Na wyspę błogosławioną.

Widać z progu Hiawaty,
Jak pogrzebny blask płomienia,
Żalobliwie płonie w borze,
Rzewną jodłę opromienia.

I rzuca bezsenne łoże
Nieszczęśliwej Minnehay.
Święty płomień miał na oku,
By od wiatru mu nie zgasnął,
Nie zostawił jej w pomroku.
„Żegnaj, mówi, Minnehao!
Żegnaj, a wszak z twojem ciałem,
Wszystek duch mój pochowałem,
Myśli moje, serce moje!

O! nie wracaj tu na trudy,
Nie wracaj na krwawe znoje,
Tu zaraza, głodu męka
Duszę stoczy, ciało znęka.
Jeszcze chwila — i skończony
Kres mój będzie — wnet za tobą,
Wnet ja pójdę do Ponemah,
Do Wyspy Błogosławionéj,
Do królestwa z Tamtéj Strony.“



XXI.

WIOSNA I ZIMA.

(Peboan i Segwun)



W swoim wigwanie, podle brzegu,
Podle brzegu zamarzłej rzeki
Siedział starzec tęskny, samotny;
Włos miał biały, jak szmaty śniegu.
Ciemném światłem szczapy gorzały,
Tulił się starzec i drżał cały,
W swój waubeuwion obwinięty,
W płaszcz poszarpany z białej skóry.
Nic nie słuchając, tylko burzy,

Jak gdzieś z rykiem w lasy ciągnęła;
Nic nie widząc, tylko prąd śniegu,
Jak wirował, syczał, zawiewał.

Już popiół barwę z węgla ścierał,
Już ogień jego zwolna zamierał,
Kiedy z podwórza cichym krokiem,
W drzwi otwarte wstąpił młodzieniec.
W twarzy młodzieńca krew kwitnęła,
Oko słodkie, jak gwiazda wiosną,
A z pod przepaski w okrąg czoła
Pióra i z liściem wonne zioła.
Usta wdzięcznym śmiechem się śmiały,
Blask słoneczny niosły w dom cały.
W ręku zwinięte w wiązkę kwiaty,
Woń wiosenną niosły do chaty.

„Ach! mój synu, starzec zawoła,
Wzrok mój szczęśliwy, że cię widzi,
Tu obok mnie na macie siadaj,
Gdzie konający płomień świeci;
Tu niech nam wspólnie na powieści
O twych przygodach noc uleci,
O przejrzanych ziemiach odległych,
A! i o mojej wielkiej sile,
Czynach wielmożnych i cudownych.“

Rzekł i wyciąga dymkę z pochwy,
Dymkę pokoju, dziworodną,
Z wierzchu czerwony krył ją kamień,
A trzcina w piórach ją trzymała.
Dymkę nakłada korą wierzby,
Na nią żarzący węgiel kładzie,
Daje gościowi, przechodniowi,
I tak zaczyna pogadankę:

„Gdy ja z mych piersi zionę wokół,
Oddech, puszczone w świat daleki,
W kamień obraca żywe płyny,
I w lód bezwładny ścina rzeki.“

Syn muz uśmiechem odpowiada:
„A moja pieśń gdy zionie w koło,
Gdy puszcze oddech w świat daleki,
Ze wszech łąk kwiaty wytryskają,
Ze śpiewem rzeki się ruszają.“

„Gdy ja potrząsnę gęstym włosem,
Rzekł zimny starzec, marszcząc brwiami,
Wnet szron i śniegi pędzą zgrają,
Z każdej gałązki liście lecą,
Tulą się, więdną, umierają:
Bom ja odetchnął, ot i znikły!
Tam z wód jeziora, z trzęsawicy,

Zrywa się czapla, dzikie gęsi,
Ciagną w odległe okolice:
Bom ja rzekł sobie: ot i znikły!
A niechże pójde w czarne bory
Chować się będzie, gdy mię zoczy,
Wielki zwierz w jamy, w zimne nory,
Ziemia się w krzemień przeistoczy.“

„A moje włosy, gdy powioną,
Śmiejąc się, młody odpowiada,
Wnet bryły w ciepłych strugach toną,
Trawa podnosi świeżą głowę,
Na staw, jeziora, trzęsawiska,
Wracają czaple, dzikie gęsi;
Powraca nurek, lotna łyska,
Jaskółka w pędzie równa strzale.
Niechże od wody zwrócę stopę,
Wnet łąki kwiatem kolyszą,
Od gęstych liści las mroczeje,
Muzyka zwierząt gra pod ciszą.“

Gdy tak mówili, noc ubiegła,
Z dalekich królestw od Wabunu,
Swojej stolicy, srebrem lśniące,
Jak rycerz zbrojny idzie światło,
I woła: „patrzcie! to ja, słońce!
Patrzcie, jam Gizys, wielkie słońce!

Tu język starca już zaniemiał,
Powietrze rosło ciepłem, siłą,
Po nad wigwamem wolno, miło,
Gil czerwony z szczygłem śpiewały,
Strumień rozpoczął gwar wiosenny,
Tam od zbudzonej świeżo trawy
Wonność pryskała w głąb wigwamu.

Lecz młody Segwun z blaskiem zorzy
Wzrok zatapiając w twarz pielgrzyma,
Dojrzał twarz jakąś lodowatą;
Ów starzec był Peboan-Zima.

Łzą spłynęły jego oczy,
Jak z jeziora, po roztopie
Srebrnym sznurem zdrój się toczy,
A gdy na błękitnym stropie
Słońce weszło — jego ciało
Więdło, chwiało się, drętwiało,
Aż rozwiane do nicości
Marno znikło w czarnoziomie.
Spojrzał Segwun — a tu w domie,
Gdzie niedawno trzon kamienny
Dymu czernił się kłębami,
Błyszczący pierwszy kwiat wiosenny.

Takto w królestwie północy

Po téj zimie groźnej mocy,
Jakiéj świat nie zapamięta,
Idzie wiosna w majestacie;
Za nią idą liście, zioła,
Kwiaty wszystkie i ptaszęta.

Więc po wiatru oceanie
Poczęło się żeglowanie:
W grubych stadach istne strzały,
Puszczone w głąb niebokręgu,
Ludy ptaków wędrowały.
Tu łabędzie Mahnabezee
Mówią prawie ludzką mową,
Tam w sznur zgięty kabłąkowo,
Jak cięciwa rozerwana,
Białe gęsi Waw-be-wawa
Przeciągają po obszarach,
To samotno, to znów w parach;
Tam się nurek w chmurze pławi,
I Szu-szu-gah, Muskodasa
Stado czapli i żórawi
Po zaroślach, w urocysku
Wyśpiewuje modre ptasze,
I Opechee z krasną piersią
Zabląkany na poddasze.

Kędy sosna rosochata,
Grucha grzywacz Omemee!
Smutny, niemy Hiawata
Wśród boleści bez granicy,
Słyszy wołanie przyrody,
Wyszedł z posepnej świątnicy,
Staje — spojrzął na te wody,
Spojrzął na ziemię i niebo.

Wtém z wędrówki od gieguna
Z słonecznych krajów Wabuna,
Wrócił Jagoo sędziwy,
Bajarz głośny i bywały.
A niósł z sobą nowe dziwy,
Cudne dzieje i powieści.

I co żyło: stary, młody,
Każdy słuchał, gdy Jagoo
Rozpowiada swe przygody.
Każdy pyta się i śmieje:
„No! do prawdy? dziwne dzieje,
Nikt nie widział ich krom ciebie!“

I nie ujrzy ich za życia.
Bo Jagoo „widział wodę
Bardzo gorzką, nie do picia,
Głębszą niż Jezioro-Wielkie
Szerszą, niżli Gitche Gumee.“

Popatrzyły się do koła
I kobiety i rycerze.
Wiec śmiejąc się każdy woła:
„Oj! nie wierzę, oj, nie wierzę.“
„Na niój — rzecz znow do grona,
Na téj wodzie, oskrzydłona
Łódź ogromna żeglowała,
Nie, nie, na skrzydłach leciała!“
A starcowie na to słowo
Rozśmieli się, trzęśli głową
„Oj! wołają, nie wierzymy!“
„Dalej, mówi, z paszczy łodzi,
Na spotkanie go wychodzi
Błyskawica, grom iskrzasty.
Za nią piorun Annemeekee!“
Ach! cóż téż się nie naśmiali
I wojacy i niewiasty.
„Ba! krzyczą, on duby smali.“
On znów dalej: „a w téj łodzi
Skrzydlatéj naszły narody,
Stu zbrojnych przyżeglowało,
A z nich każdy twarz miał białą,
I kędziory pozdłuż brody.“
Na to starcy i kobiety

W śmiech szyderczy, do rozpuków —
Istne stado wron i kruków,
Co obsiadły sosen szczyty,
„Ba! wołają, a to plecie,
I wy mu wierzyć będziecie.“

Tylko jeden Hiawata
Nie wyśmiewa przyjaciela
I szyderstwa nie podziela;
Lecz odrzekł głosem wspaniałem:
„Wszystko prawda, co on mówi,
Ja w widzeniu to widziałem,
Widziałem lud białej twarzy,
Widziałem korab skrzydlaty,
W nim od wschodu, lud brodaty
Pożeglował od Wabuna!

Wszechmocny Gitche Manito,
Tu go przysłał na zwiastuna,
W poselstwie od swego ducha,
A przed nim koląca mucha
Rojem biegła i wespoly
Biegły miódotworne pszczoły,
Za nimi kwiat się wyłonił
W naszym świecie niebywały
I w kwiatach Mąż Stopy białej.

„Powitajmyż więc łaskawo
Tych zamorskich braci gości,
Podajmy im rękę prawą
Od przyjaźni, od miłości,
Bo tak wyrzekł mi w widzeniu
Wszechmocny Gitche Manito!

„Widziały téż me zrenice
Wszechprzyszłości tajemnicę
I tych wieków, co być mają;
Widziałem, jak w nasze progi,
Szedł na zachód tłum przemnogi,
Kraj zaroił się od ludu,
Ruchu, boju, wrzawy, trudu;
I mówiło gwarne grono
Stem języków — lecz ich łono,
Czuło jedném tętném serca;
Ich topory były w borach,
Dymem czerniał gród po grodzie,
Na wszech rzekach na jeziorach
Z grzmotem snuły się ich łodzie.

Tedy chmurno, groźnie, ciemno
Przesunęło się przede mną
Znów widzenie — i jam widział,
Jak lud nasz rozbiegł się krajem,

Na moje modły niepomny,
Moim radom wiarołomny;
Widziałem, jak szczątki rodu,
Bracia moi, nędzni, dzicy,
Pognali gdzieś do zachodu,
Istny odłam nawałnicy
Albo zwiędły liść jesienny.



The first part of the
book is devoted to
the history of the
country from the
beginning of the
world to the
present time.

The second part
contains a description
of the natural
resources of the
country and the
methods of their
exploitation.

The third part
deals with the
social and
economic conditions
of the country
and the progress
of its civilization.

The fourth part
contains a
summary of the
main results of
the researches
conducted during
the last few
years.

XXIII.

HIAWATA ODPLYWA.



Na pomorzu Gitche Gumee,
W prześliczny poranek lata,
Stał w przedsionku Hiawata,
Stał i dumał i spoglądał
Tam, gdzie świeci Wielka Woda.

W koło niego wszechprzyroda
Drgała życiem i świeżością,
Ziemia, wonią i światłością.
Przed nim pod fale promienne,
Na zachód w lasy ościenne,

Ahmo lecą w złotym roju,
Miodotworne pszczoły lecą
I słonecznym ogniem świecą.

Górą jasne niebo płonie,
Dólem w prądach świecą piany,
Jesiotr depcze po ich łonie,
Skrami słońca obsypany.

Z brzegów, z wyniosłemi szczyty
Stał bór, w głębi wód odbity,
Każde drzewo cień swój miało
Nieruchomy po pod wodą.

Już z oblicza Hiawaty,
Już mu z serca troska spadła;
Jak poranny tuman z łąki,
Jak mgła spada z wód zwierciadła.
Znać z pod duszy się uśmiecha
Pokój, tryumf i pociecha;
Jak ten, który przez mgły wieszczę
Widzi cuda, co się jeszcze
Nie spełniły, a przyjść mają,
Stał i czekał Hiawata.

Wzniósł ku słońcu obie dłonie,
Cichy wzrok utkwiał w niebiosa,
A wśród palców szczelinami

Promień słońca padł z ukosa,
Na twarz jego i na skronie,
I na ramię obnażone;
Jak pada na drzew konary
Przez rozdarte liścia szpary.

Wtém coś zdala, po głębinie,
Niby leci, niby płynie,
Otulone w mgłę poranku;
Pnie się, rośnie z po pod wody,
Co raz chyżej bez ustanku
Niby leci, niby płynie.

Czyby to nurek-Shyngebis?
Czyby Shada pelikany?
Czyby czapla żeglowała?
Czy Waw-be-wawa, gęś biała,
Obryzgując śnieżne piany,
Z szyi i skłającego pierza?

Nie! nie nurek, nie gęś biała,
Ani czapla żeglowała,
Ani Shada pelikany
Przelatują, przepływają
Odmet mgłami obwieszony —
Nie! — to płynie łódź ze styrem,
Obryzgana skłającym wirem,

To się wzbija, to ponurza,
A w łodzi płyną przychodnie
Z dalekich krańców Wabuna,
Z ziem, gdzie wstaje słońce wschodnie.
Płynie prorok w czarnej szacie,
Z nim mężowie, przewodnicy
I ofiarnik bladolicy.

A szlachetny Hiawata
Stał z rękami wzniesionemi;
Znać w przychodniu uczuł brata,
Nie poskąpi mu swój ziemi.
Alić wiosła o żwir biały
Na wybrzeżu zaskrzypiały,
I w czarne szaty odziani
Z krzyżem na piersiach, kapłani
Na piaszczysty brzeg wysiedli.

Więc szczęśliwy Hiawata
Wykrzyknął i tak powitał:
„Śliczne słońce, bracia moi,
Żeście przyszli z tak daleka;
Oto dom otworem stoi,
Gród w pokoju na was czeka!
Więc wnijdziecie w nasze wigwamy
Z duszą śmiałą — boć wam damy
Prawą rękę serca swego.

Nigdy ziemia nie zakwitła
Jako dzisiaj, ani słońce
Nie było nam tak jarzące,
Iżeście nas, goście mili
Z tak daleka nawiedzili.
Ni jezioro, ni te skały
W takiej ciszy nie powstały:
Znać od przejścia łodzi świętej
Uciszyły się odmęty!

I tytoniu złote liście
Téj rozkoszy nam nie dały,
Ani łany chlebotajne
Nie kwitły tak uroczyście
Jak dziś, gdy nas goście mili
Z tak daleka nawiedzili.“

A odziany czarną szatą
W niepojętej, cudzej mowie
Arcykapłan tak odpowie:
„Pokój tobie Hiawato,
Pokój twojemu plemieniu,
Pokój w Chrystusie i Maryi
Pokój w modłach, w przebaczeniu.“

Więc szlachetny Hiawata
Gościnności dłoń podaje,

Do wigwamu ich wprowadza
I na pulchne gronostaje,
Na bobrowe futra sadza.
Już i Nokomis sędziwa
Stawia naczynia olszowe,
Z jadłem sutem — i nalewa
Wody w czarki bukszpanowe,
Rozdaje lulki pokoju.

Tedy ze wszęej okolicy
Spieszą starcy Jossakeeds,
Wabenos, czarnoksiężnicy,
Wojacy i prorokowie
I wołają w rzewnej mowie:
„Dobrze, żeście goście mili
Z tak daleka nawiedzili.“

I półkolem w długiej sieni
Zasiadają uciszeni,
Przyjrzyć się gościom ze wschodu
I posłuchać zwiastowania.
Wyszedł kapłan, głowę skłania,
I przemówił do narodu
Zająkliwe w cudzej mowie:
„Dzięki gościu, w czarnej szacie
Lud z zapalem mu odpowie
Że tę ziemię nawiedzacie.“

Na to prorok bladolicy
Mówił im o wielkim celu
I o świętém zwiastowaniu,
O Maryi Boga-Rodzicy,
I o Synu Zbawicielu,
Jako przed wiekami wielu,
Pośród ludzi zszedł na ziemię,
Sprawując za ludzkie plemię
Modły, posty i znój święty;
Jako żydzi, ród przeklęty,
Bogu swemu urągali,
Krzyżową śmierć mu zadali;
Jako potem z grobu swego
Zmartwychwstał jest dnia trzeciego
I znów wstąpił na niebiosą.“

„Oto,“ rzekły ludu głowy,
„Słuchaliśmy zwiastowania,
Słuchaliśmy mądrój mowy,
Rozważymy ją u siebie,
I dobrze jest, bracia mili
Iżeście nas nawiedzili.“

A lud powstał i odchodzi,
Niosąc żonom i wszój młodzi
Zwiastowanie wielkiej mocy,

Jako rzekli im prorocy,
Przechodniowie i kapłani
Przez Twórcę — ducha nasłani
Z krajów, kędy słońce wschodzi.

Znękane ciszą i żarem
Popołudnie ociężało,
Las dziewiczy sennym gwarem
I dusznotą ział na izbę;
Z sennym gwarem wód kryształę
Jego podnóże plukały;
Halaśliwy i swawolny
Skwierczał w łanie konik polny.
Letnią ciszą w izbie chaty,
I żarem ukołysani,
Cicho posnęli kapłani.

Zwolna na krajobraz biały,
Zmierzch i chłody napływały;
W długim, poziomym promieniu,
Zachód w puszczy miota strzały,
Przebijając tarcze cieniu,
Do najgłębszej rozpadliny.
I darł się w leśne tajniki,
W skryte próżnie, w dno gęstwiny.
Snem głębokim w izbie chaty
Drzemią goście Hiawaty.

A on powstał — do Nokomis
Z pożegnaniem się obrócił,
Wzdycha — lecz cicho ją żegna,
By snu gościom nie zakłócił.
„Oto,“ już mię podróż czeka
Daleka, bardzo daleka!
Idę na świata granice,
Tam, gdzie u bramy zachodniej
Wiatr ojczysty ma stolicę.
Więc oddaję tych przechodni
W ręce twoje, w straże twoje,
A to ma ostatnia wola;
By tych gości niepokoję,
By ich nigdy czarna dola,
Ani trwoga, podejrzenie,
Ani troska nie napadła,
Brak napoju albo jadła
W gościnie u Hiawaty.“

Rzekł i na wioskę wychodzi:
Z pożegnaniem idzie rzesza
Wojowników i wszéj młodzi,
On ich żegna i pociesza:
„Żegnam cię, ludu rodzimy,
A daleko mi, daleko!

I mnogie lata uciekają,
Mnogie miesiące i zimy
Uciekają i znów nastaną,
Nim ujrzę ziemię kochaną.
Lecz oto zostawiam gości!
Nakłaniajcież tedy ucha
No głos wiary i mądrości,
Bo ci z woli Twórcy-Ducha
Posłani są do narodu
Z krajów poranka i wschodu.“

I nim łódkę w rączym biegu
Porwały modre otchłanie,
Raz jeszcze skinął od brzegu
Na ostatnie pożegnanie.
I z mielizny łódkę spycha
Drży posłuszna — on jój z cicha
Szepnął: „na zachód, na zachód!“
I bystro biegła na zachód.

A od słońca zachodniego
W ogniach stanęły obłoki,
W ogniach niebokrąg szeroki.
Na tle wody, jak na łące
Podłużnym ślakiem światłości
Słońce legło zachodzące.

Po szlaku, jak po głębinie,
Wciąż na zachód łódka płynie,
Płynie w ogniste powodzi,
Płynie we mgły purpurowe,
W mrok, kędy słońce zachodzi.

A lud stojący nad rzeką,
Patrzył, jak łódka brzozowa
Płynie, wzbija się i chowa.

I zdało się, że daleko
Gdzieś tam w światła oceanie
Nurza się, purpurą pali,
Aż zwolna pada w otchłanie,
Ginąc w czerwonej oddali,
Jak dwurogi nów księżyca.

„Bywaj zdrów, lud wołał za nim,
Bywaj zdrów na wszystkie wieki.“

A samotny bór daleki
Zadrżał całą głębią mroku,
Szepcząc „bywaj zdrów na wieki!“

I Szu-Szungah, czapla biała
W trzęsawisku zajęczała:

„Bywaj zdrów o! Hiawato!“

Więc odpłynął z tego świata
Ukochany Hiawata,

Za tém słońcem, co w powodzi
Purpurowej mgły zachodzi,
Odłynął w kraje Ponemah
Za niebokręgu granice,
Gdzie ojczysty Keewaydin,
Wiatr północny ma stolicę,
Do wyspy Błogosławionej,
Do królestwa z Tamtej Strony.



OBJAŚNIENIE.



Pieśń o Hiawacie. Ta indyjska Edda — jeśli można ją tak nazwać — opiera się na panującym u Indyan północno-amerykańskich podaniu, o mężu cudownego urodzenia, zeszłego do nich dla oczyszczenia ich rzek, lasów i nauczania sztuk pięknych, owoców pokoju. Znany on był u różnych plemion pod imieniem: Hiawatha, Michabon i t. p. Na tém starém podaniu osnułem inne ciekawe legendy indyjskie, zasiągnięte głównie z ważnych pism p. Schoolcraft, któremu świat naukowy winien ocalenie wielu zabytków legendowój przeszłości Indyan. Sceną obecnego poematu są kraje Odzybwejów na południowym brzegu Jeziora Wyższego.

Pieśń I. „Góry stepowe.“

„Podług podania Indyan, mówi p. Catlin, tu zdarzyło się tajemnicze poczęcie lulki czerwonej,

co swój dym wonny po pokoju rozwiała do najodleglejszych krańców lądu, dosięgła każdego wojownika i rozesłała nieodwołalną przysięgę wojny i zniszczenia. Tu również poczętą była *lulka pokoju*, która wytkana orlemi piórami, drżący dym rozwiała po nad krajem i wściekłą dzikość zlagodziła....“

Pieśń II. „Oj tchórz z ciebie.“

Słyszałem, mówi jeden z etnografów, jak pewien Indyanin na polowaniu wystąpił do niedźwiedzia z taką apostrofą. Gdy już go obrządził, zapytałem, z kąd miał pewność, że go biedny zwierz zrozumiał?

Jakto? odpowiedział Indyanin, zrozumiał mię on bardzo dobrze. Czyś pan nie uważał, jak się zawstydzil, gdy mu wyrzucelem jego tchórzliwość?“ (Transaction of the American philosophical Society).

Pieśń III. „Hen tam nagi niedźwiedź stoi.“

„Podług podań Mohikanów i Delawarów, ze wszystkich zwierząt, jakie pierwsiastkowo zamieszkiwały tę krainę, najdzikszy; był on daleko większy od największego z pospolitych niedźwiedzi i z nadzwyczaj długim ciałem, przytem zupełnie nagi, wyjąwszy jedyny biały czubek na

karku.... Ztąd matki krzyczące dziecko zwykły nim straszyć.

Pieśń IV. „Kaskada Minnehau.“

Okolica przy Fort Snelling, jest bogatą w piękności. Wodospady Ś-go Antoniego znane są podróżnikom i czytelnikom legend indyjskich. Po między fortem i temiż wodospadami są „Małe Spady“ na 40 stóp wysokie, na rzece wpadającój do Mississipi. Indyanie zowią je Mine-hah-hah, to jest „śmiejące się wody.“

Pieśń VI. „Góry piasku Nagów Wudjoo.“

„Grand sable, jako krajobraz, jest niemniej zajmujący, jak Malowane Skąły. Przejścia tu są nagłe, a skąły znakomitój wysokości. Badacz widzi tu przed sobą pusty pas długi, podobny do ławy piaskowój, przeszło na 350 stóp wysokiój, bez śladu roślinności. Wstępując wyżej, widzi się okrągłe wzgorza nawianego piasku, a z rzadka gromadkę drzew, stojącą jakby w oazie.“

(zob. Report on Lake Superior).

„Onaway, o! przebudźże się.“ Pieśń oryginalna indyjska.

Pieśń VII. „A może łabędź czerwony!“

Fantastyczne podanie o czerwonym łabędziu, znaleźć można w VII tomie dzieła Schoolerafta:

„Trzej bracia polowali pod zakładem, kto pierwszy wróci do domu ze zdobyczą myśliwską. Puścili się każdy w inną drogę. Najmłodszy z nich Odjibwa, nie uszedł daleko, gdy zobaczył niedźwiedzia. A ponieważ ułożył się, aby każdy z nich polował tylko na takiego zwierza, na jakiego zwykł był dotąd polować, przeto jemu nie wypadło, na mocy umowy, zabijać niedźwiedzia. Mimo to jednak ścigał go, i ugodziwszy strzałą, położył go trupem. Było już i to wbrew umowy, wszelako on jeszcze zaczął zdejmować skórę; gdy nagle coś czerwonego zafarbowało całe powietrze w około niego. Przetarł sobie oczy, mniemając że to może złudzenie; lecz nadaremnie, bo czerwoność trwała ciągle. Następnie usłyszał dziwny dźwięk w oddaleniu. Zrazu zdawał się to głos ludzki; lecz idąc na pewną odległość za głosem, doszedł do brzegów jeziora i dostrzegł przedmiot swoich badań. Oto wśród jeziora siedział Czerwony Łabędź dziwnej piękności, jego pióra lśniły od słońca, i niekiedy wydawał też same głosy, co pierwój były słyszane. Odjibwa staje na odległość

strzały, wyjmując pocisk, wymierza i puszcza — lecz pocisk był bez skutku — i tak strzelał ciągle, aż kołczan został wypróżniony. Łabędź wciąż żywy, krążył, wyciągając szyję, zanurzając dziób w wodzie, nie dbając na pociski. Strzelec pobiegł do domu, zabrał wszystkie strzały swoje i swoich braci, i wszystkie wystrzelał. I znów stanął i patrzył na pięknego ptaka. W tém przypomina sobie co słyszał od braci, iż w lekarskiej torbie zmarłego jego ojca, są trzy czarodziejskie strzały. Pobiegł więc, bo żądza zabicia ptaka odstąpić go nie mogła i wszelkie skrupuły zagłuszyła. Kiedy in-dziej miałby sobie za świętokradztwo otwierać torbę ojcowską, lecz dziś spieszenie porwał trzy strzały i pobiegł, zostawiwszy resztę drobiazgów porozrzucaną po izbie. Łabędź był jeszcze na miejscu. Strzelec wypuszcza pierwszy pocisk, który upada blisko łabędzia. Drugi padł jeszcze bliżej. Gdy brał trzecią strzałę, uczuł jakąś moc w swęj ręce i silnie wypuścił strzałę: przeszła szyję łabędzia nieco wyżej piersi. Mimo to jednak ptak uleciał, zrazu wolniej, potem coraz chężej ku zachodowi.“

Pieśń XIII. „I o cudach Mondamina.“

Indyanie mają wysoką cześć dla kukuruzy. „Uważają to ziarno za tak ważne i tak boskie, mówi Schoolcraft, że ich baśniotwórcy wynaleźli mnóstwo rozlicznych powieści, symbolizujących to pojęcie pod postacią szczególnego daru Wielkiego Ducha. Odzybwejowie (plemie), zowiąc ją *Mon-damin*, to jest ziarno (*jagoda*) Ducha, posiadają piękne podanie, w którym roślina ta w zupełnym rozwoju swoim przedstawioną jest, jako zstępująca z nieba w postaci pięknego młodzieńca, a to na modły jakiegoś młodego męża. Wiadomo powszechnie, że u wszystkich niekolonizowanych jeszcze plemion, uprawa i zbieranie plodów, zostawione jest dzieciom, niewiastom i podeszłym starcom. Ale może nie każdemu wiadomo, że ten rodzaj pracy nie jest ściśle obowiązkowy lub przymusowy; kobiety podjęły się jej, jako obowiązku zrównoważenia uciążliwej i nieustannej pracy mężczyzn, poświęconej zdobywaniu skór na odzież, męża, łowom i obronie kraju od wrogów. Prawa gospodyni uważa to za cześć przywileju; pyszni się że posiada magazyn z ziarnem dla spełnienia gościnności...“

„Obejdź w koło nocną rolę.“

Szczególnym dowodem téj wiary w tajemniczy wpływ stóp kobiecych na rośliny i owady, jest starożytny zwyczaj, odnoszący się do zasiewu. Było to przyjęte u żony myśliwca, gdy już pole było zasiane ziarnem, wybierać ciemny lub bardzo pochmurny wieczór do spełnienia tajemnego obchodu, wokół pola, bez ubrania. W tym celu wymykała się ona wieczorem z mieszkania, niepostrzeżona, w jaki ciemny zakątek, gdzie zupełnie się rozbierała. Tedy biorąc do rąk swoją *matchecota*, to jest najcelniejsze ubranie, obwodziła niem w okolo całego pola. To miało zapewniać zyzny plon, i ubezpieczać ziarno od napadu owadów i robaków. Przypuszczano bowiem, że one nie mogą przeleść po za koło czarnoksiężki.“ *Oneota*. 83.

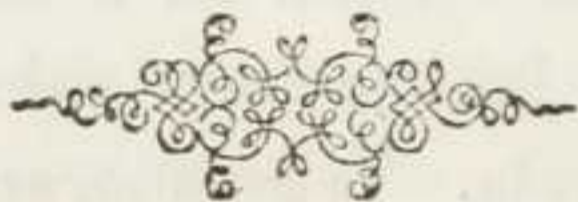
Pieśń XVI. „Pugasaing do gry w 14 kamieni.“

Ta gra jest najgłówniejszą z hazardownych gier pomiędzy północnemi plemionami Indyan. P. Schoolcraft opisuje ją (w swojej *Oneota* V. 83) tak: „Ta gra ma bardzo wiele powabu dla niektórych Indyan. Stawiają oni suknie, konie, łódki, oręż, słowem wszystko, cokolwiek posiadają

zdarzają się i tacy, którzy postawili własne żony i dzieci, a nawet własną, osobistą wolność.

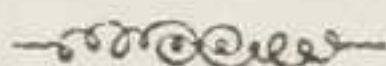
Pieśń XXII. „A szlachetny Hiawata
Stał z rękami wzniesionemi.“

W ten sposób i z takimi pozdrowieniami przyjęty był ojciec Marquette przez Ilinojów.



SŁOWNICZEK

niektórych tu użytych wyrazów Indyjskich.



- Adjidaumo*, wywiórka.
Ahmeek, bóbr.
Anneemekee, grzmot.
Chetowaik, siewka.
Baimbawa, huk piorunu.
Chibiabos, muzyk — władca w kraju duchów.
Gitehe Gumee, wielkie jezioro (jezioro wyższe).
Gitehe Manito, wielki duch.
Hiawatha, prorok-mistrz.
Jagoo, bazarz, gawędziarz.
Ishkoodah, kometa.
Jeebi, duch, dusza.
Jossakeed, prorok.
Kabibonokka, wiatr północny.
Kahgagee, kruk.
Kaw, nie.
Kayoshk, mewa.
Keewaydin, wiatr północno-zachodni.
Kenabeek, wąż.
Keneu, wielki orzeł.
Kwasind, silny.
Mama, dzieciół.
Meda, lekarz.
Migissogwon, czarnoksiężnik.
Minjekahwun, rękawice.
Minnehaha, śmiejąca się woda (nazwa kaskady wpadającej do Mississippi), żona Hiawaty.



Mishe Mokwa, wielki niedźwiedź.
Mishe Nahma, wielki jesiotr.
Mandamin, kukuruza.
Mudjekeewis, zachodni wiatr (ojciec Hiawaty).
Nagio W'udjoo, ławy piasku.
Nepahwin, sen.
Nokomis, babka.
Nosa! ojeze mój!
Onaway! ocknij się.
Pau-guk, śmierć.
Pau-puk-keewis, gracz, pustak.
Peboan, zima.
Pemican, potrawa z sarny lub bawołu.
Pishnekuh, dzika gęś.
Ponemah, przyszłość.
Puk-Wudjes, karty.
Segwun, wiosna.
Shada, pelikan.
Shangodaya, tchórz.
Shawondesee, wiatr południowy.
Shaw-Schaw, jaskółka.
Shingebis, nurek.
Totem, herb.
Ugudwash, słonecznik (ryba).
Unktahee, Bóg wody.
Wabosso, królik (północ).
Wabeno, guślarz.
Wabun, wiatr wschodni.
Wahonomin, niestety!
Wabun-Anung, gwiazda wschodu.
Wawa, dzika gęś.
Wenonah, najstarsza córka. (*)

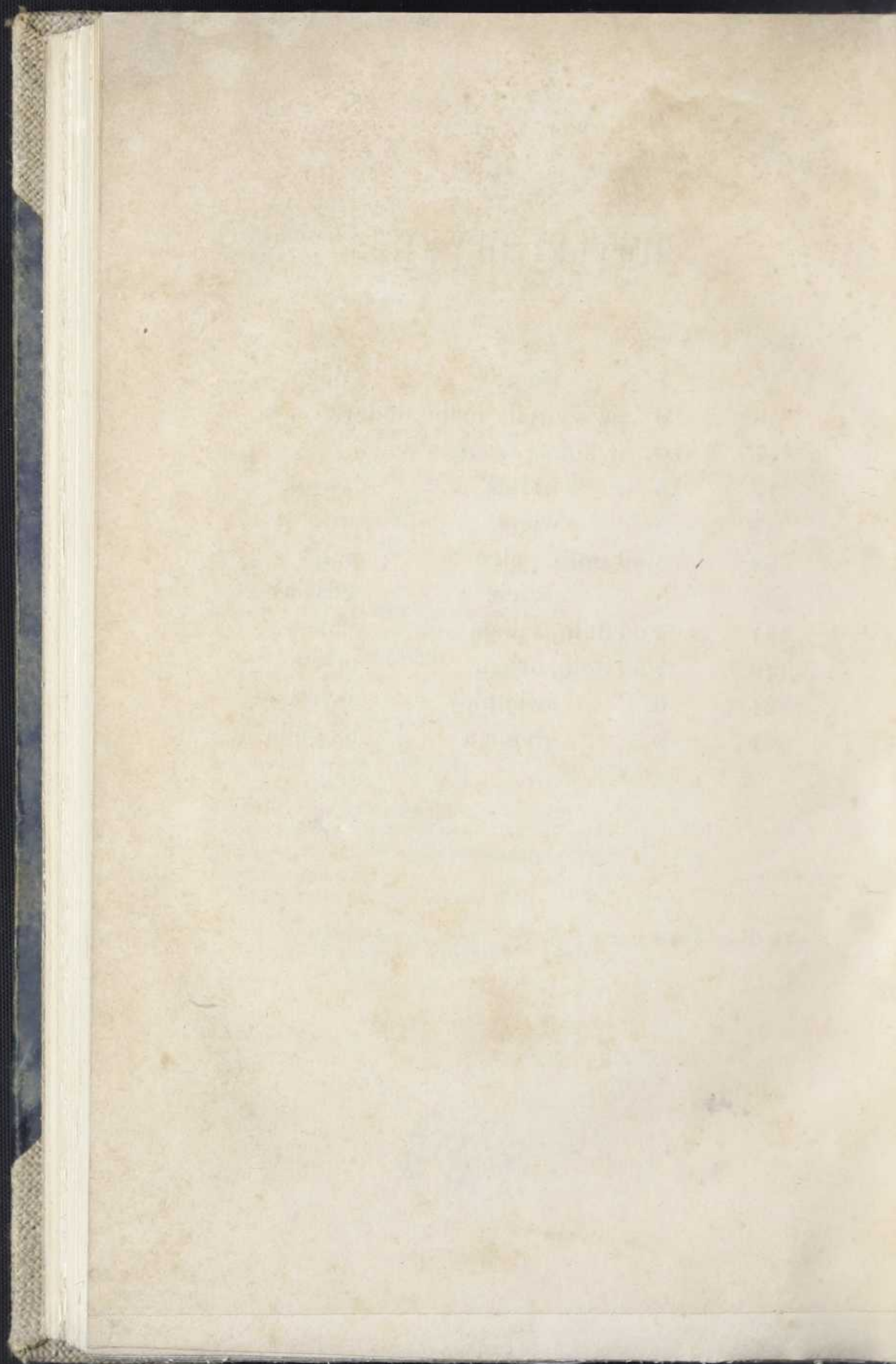
(*) Znaczenia innych łatwo domyślne, a powiększej części wyjaśnione zostały w samym wierszu. (P. tłóm.).



OMYŁKI DRUKU

<i>Stron.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>ma być</i>
13	7	Bogu	Boga
17	6	po wyrazie niebo dodaj	,
17	10	w końcu wiersza dodaj	,
17	13	borem	borom
73	5	wieje	wije
83	3	od dołu, palec	palce
128	5	gościz	gościa
151	4	od dołu, śmiają	śmieją
176	7	od dołu, osłem	orłem
261	6	świętnicy	świetlicy
261	9	gieguna	bieguna





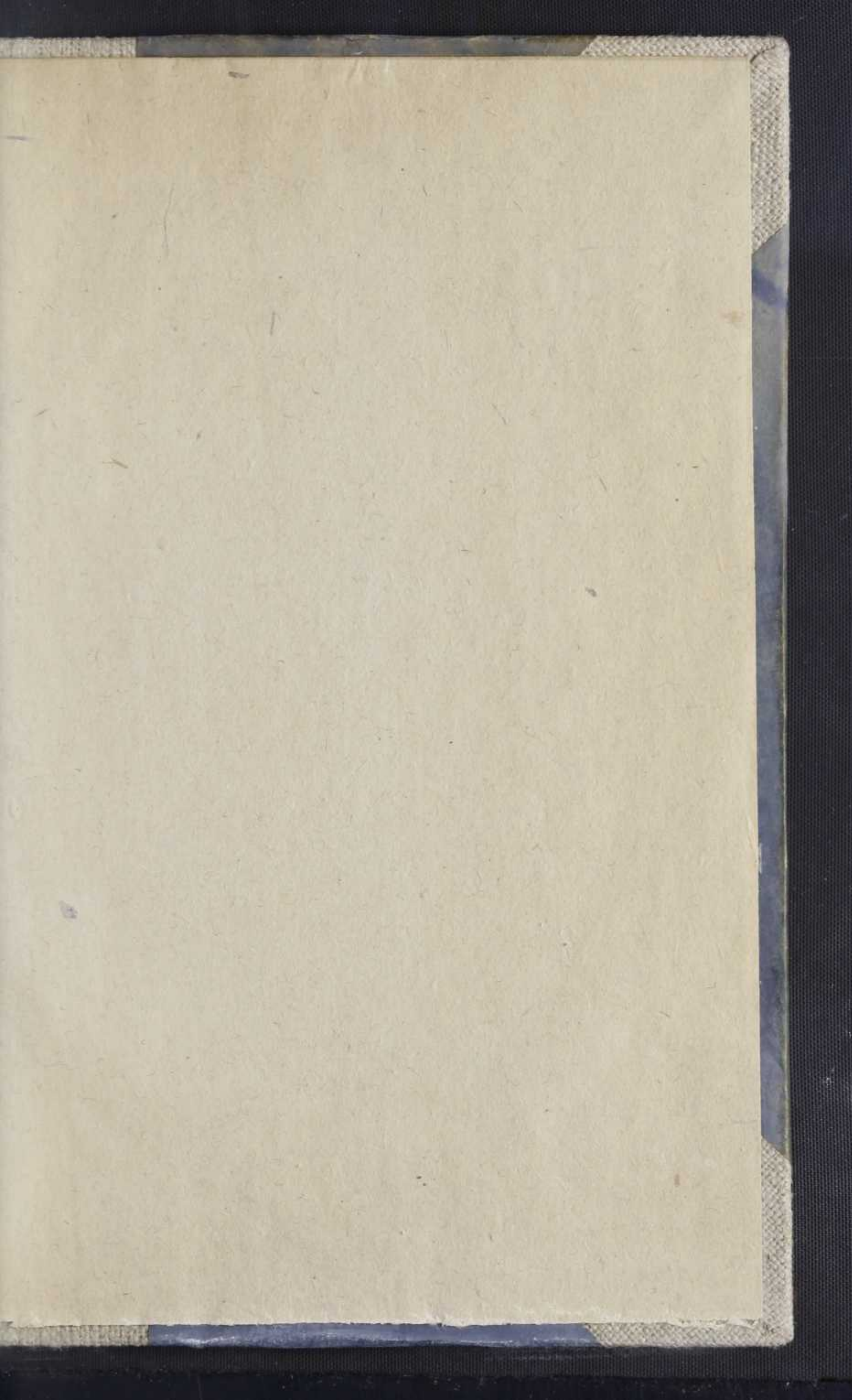
Antykw. Nauka
Kraków
26.VI.53

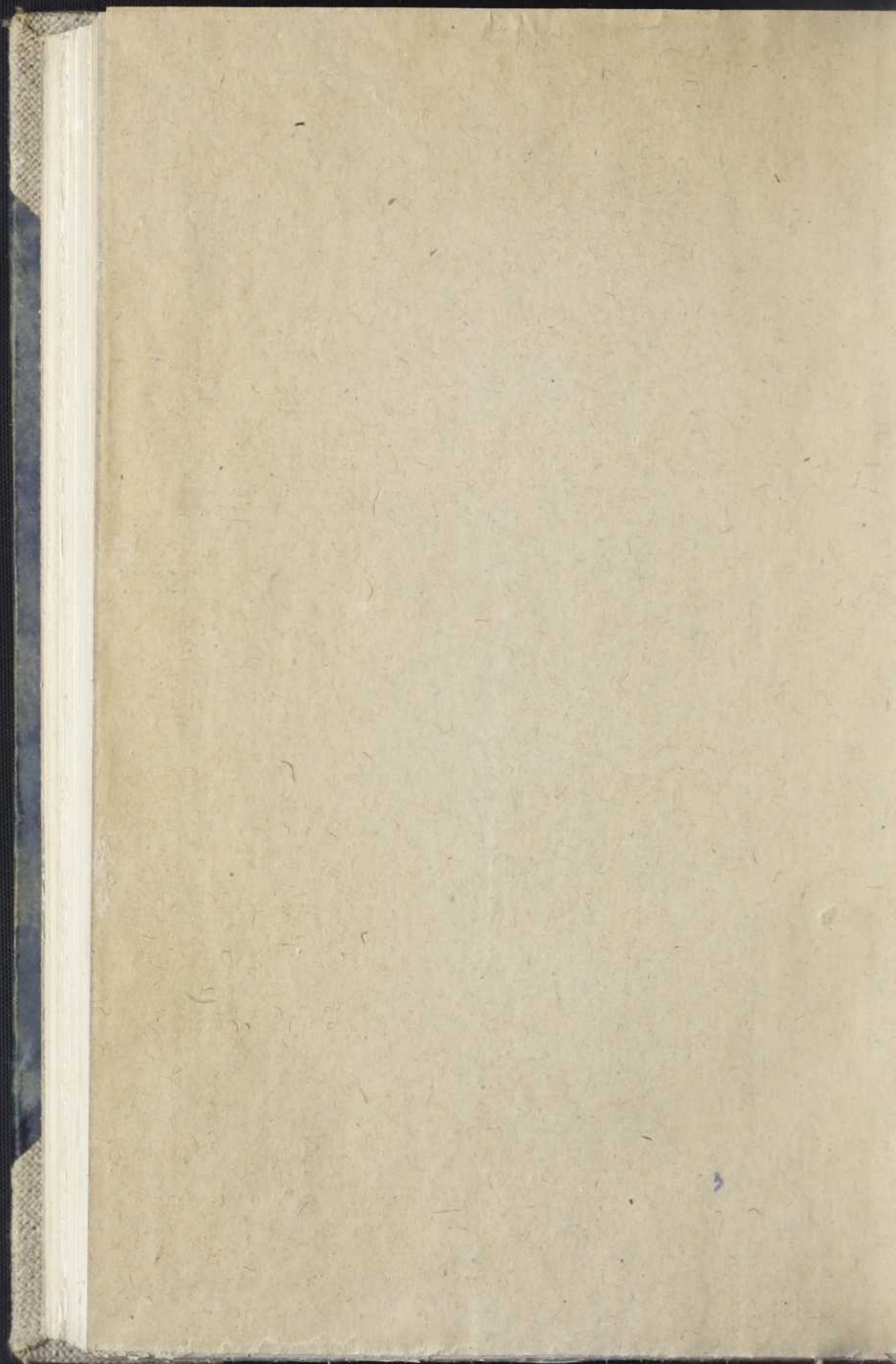
40.065

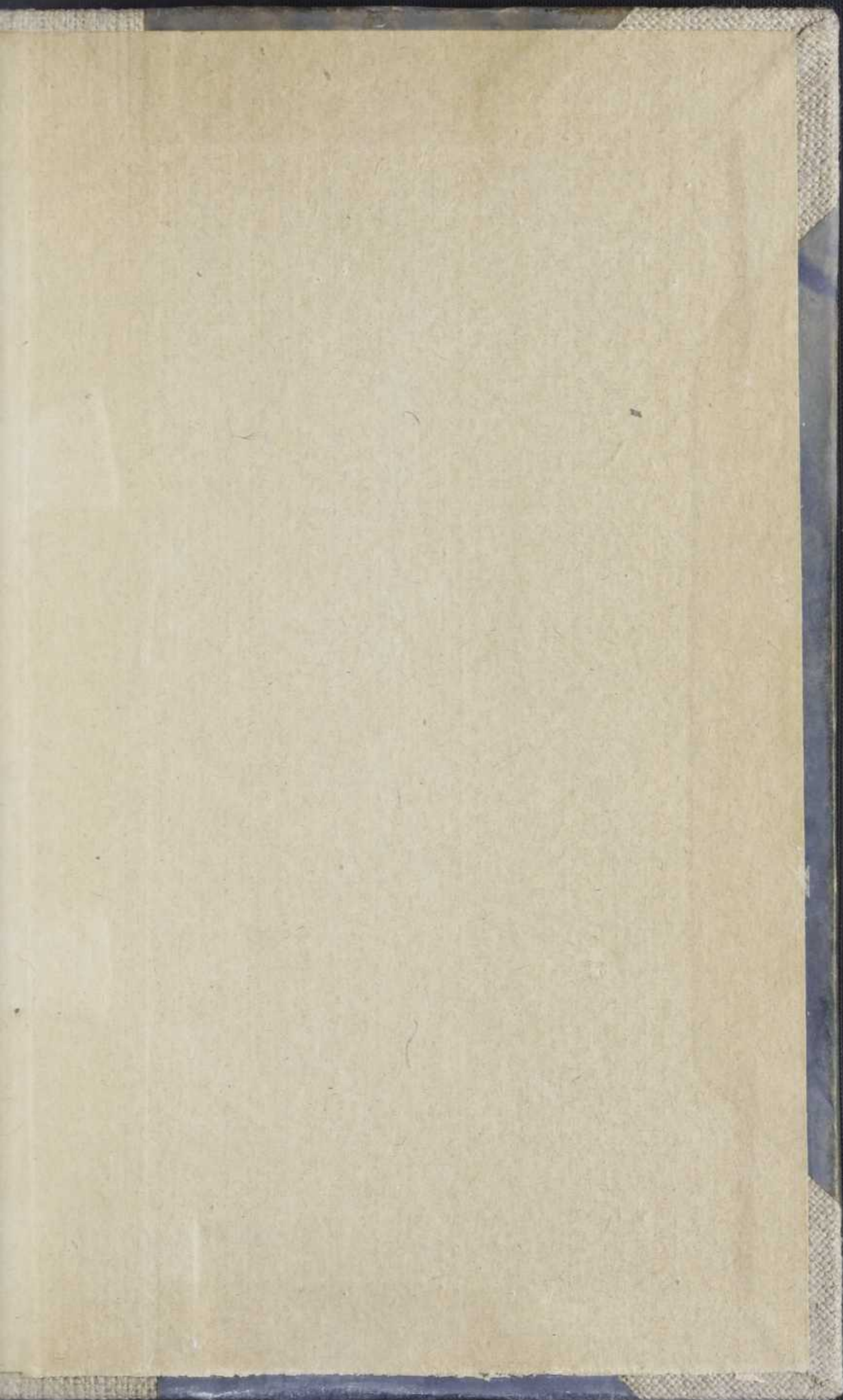
of 24836

10/29











207042

